

Handwritten scribbles or faint markings at the top of the page.

1001

956



57
103

TANIA BIBLIOTEKA

No 16

PIOTR NANSSEN

Próba ogniowa

NOWELLE

przekład

Wincentego Szatkowskiego



269

WARSZAWA

Nakładem Spółki Wydawniczej

JAN ROWIŃSKI I ADAM SOBIESZCZAŃSKI

Hoża 16



840-3m2

32.
P. 308
4.3.462.

Druk Drukarni Polskiej, Warszawa, Jasna 2.
(L. Straszewicza).

1907.

M i m i.

Zadumana siedziała Mimi na małej ławeczce ogrodowej, marząc o powrocie do stolicy. Słońce chyliło się ku zachodowi, a ona wpatrując się w grę kolorów świetlnych, zastanawiała się jednocześnie nad swoim młodem, a tak marnie spędzonym życiem.

Miała już lat siedemnaście, wkrótce będzie osmnastka, a o miłości wie zaledwie tyle, że to podobno jedyne godne zatrudnienie dla szanującej się młodej damy.

Dla przechwałki opowiadała przyjaciółkom, że w tym lub owym jest zakochana; w rzeczywistości tego uczucia wcale nie znała, nie pojmowała go i sama się obmawiała. Ot, zwyczajnie, kłamała; chociaż wiedziała, że w życiu należy kroczyć drogą prawdy przedewszystkiem.

Do miłości co prawda możeby się nagięła, gdyby tylko narzeczonego nie potrzeba było całować... Bo, czyto nie wstępnę całować usta zaróżnione wężami, które dopiero co paliły cygaro, a może nawet piwo piły?... Brr!... okropne!... Prawda, że ojca często całowała na „dzień dobry” albo „dobranoc”, ale ojciec to nie mężczyzna, ot, tylko sobie ojciec... wreszcie przy całowaniu podciąga mu zwykle wąsy w górę!...

Pojmowała, że czasem koniecznym bywa całować damy, pojmowała nawet mężczyzn którzy pragnęli jej usteczka wycalować, te usteczka tak pognęte, czerwone, wążuteńkie... ale żeby całować... mężczyzną fe... to musi być coś tak niesmacznego, jak palenie fajki; a jakie to nieprzyjemne wie doskonale, bo nieraz próbowała zaciągnąć się z ojca fajeczki! Uf!... jakie to było obrzydliwe... jakie niesmaczne!... A przecież coś ją pociągało do fajeczki i rozstać się z nią nie mogła. Czyżby i całusa podobną tajemniczą siłą posiadał?...

Dwa razy w życiu była w tem położeniu, że pewien pan prosił ją o całusa. Naturalnie, że go odpałiła!...

Trudna nawet rzecz do wiary, że ci zarozumiałcy mężczyźni, są pewni, iż sprawiają kobiecie przyjemność, gdy się pozwolą wycalować!... Gdyby było inaczej, propozycji takiej by nie robili.

Jej proponował całusy dwukrotnie jeden tylko mężczyzna.

Gdy dobrze sobie uprzytomni, to był nawet jeden z tych, którego całusy w ostateczności nawet byłyby znośne. Nazywał się Axel — dość ładne nazwisko — i był inżynierem. Egzaminy jego co prawda nie wypadły zbyt świetnie, ale przyczyną tego nie była głupota, tylko lenistwo, a to zmienia postać rzeczy.

Był wysoki, silny, okazały, a tańczył bajecznie. Na jego ramieniu leżało się tylko i pozwalało unosić!...

Miał ładne długie blond wąsy, krótko strzyżoną brodę i niebieskie śmiejące się oczy, które żadnej trwogi nie wzbudzały, choć nieraz na próżno trzymał się przestraszyć niemi panie.

Minęło już pół roku, od czasu tej strasznej pierwszej propozycji. Było to na balu, u pułkownika Hammersteda; przy stole siedział obok niej

i tak było przez cały karnawał. To podobno często się przytrafia. Bywa to zazwyczaj mężczyzna, któremu się pierwszy taniec ofiaruje, kuzyn lub przyjaciel brata — jeden z tych, co to wybornie tańczy kotyljona, o którym się wie z góry, że swój bukietek innej damie ofiaruje, z którym się zawsze idzie w parze do stołu, wreszcie jeden z tych, do którego ma się serdeczne zaufanie.

Ostatni to był bal w sezonie, wobec czego nawet przy szampanie panował jakiś sentymentalizm, pary szeptaly do siebie, że nie tak prędko się zobaczą i żalowano szczerze karnawału.

Kiedy wstała od stołu, czuła, że trochę więcej wypić szampana niż należało. On, zawsze greczny i uśmiechnięty, przeprowadził ją do jednego z dalszych, pustych pokojów. Naraz, z przerażeniem spostrzegła, że trochę zanadto nad nią się pochylił i patrząc zbyt śmiało w jej oczy zapytał bezczelnie:

„Panno Mimi, czy na pożegnanie nie otrzymam od pani całusa?”

Zerwała się, oprzytomniała... i drząc cała powiedziała stanowczo:

„O, napewno nie otrzymasz go pan!” poczem okropnie wystraszona wybiegła do drugiego pokoju!..

Co to za maniera, tak bez żadnej ceremonii coś podobnego proponować. Nie wolno przecież wymagać, od młodej osoby, żeby ni stąd ni zowąd mężczyzną całowała!...

To też potem powiedziałam mu zupełnie serjo: „Gniewam się bardzo na pana”. On, bezczelny, przymróżył na to oczy i bez zarumienienia się odparł: „Ja w to nie wierzę!” Impertynent!... powiedział to nawet tonem, dowodzącym pewności siebie!...

Zadowolona wówczas była z tego, że się nieprędko zobaczą.

Wkrótce po zejściu tem wyjechała na wieś do przyjaciółki Idy i razem spędzały lato, zwierając się wzajemnie ze swych uczuć i myśli. — Ida była jednak czasem tak dziwną, że trudno było ją pojąć. Na przykład pewnego razu utrzymywała, że dzieciństwem jest uznawać całusy za coś brzydkiego; przeciwnie, całus dla niej to wprost rozkoszna rzecz. Podrażniona tem nieco Mimi, zapytała czy go też Ida kiedy spróbowała? — a ta miała rozpustnica, w oczy jej się roześmiała, twierdząc, że trudno by jej nawet przyszło wszystkie ofiarowane całusy zliczyć!...

Brr!... dziwne przyjemności miewają nieraz ludzie!...

— Tu na wsi, miała dzięki Bogu, przez pewien czas spokój, który, niestety, już został zakłócony. Oto jednego dnia wpadł Axel jak bomba. Okazało się, że był serdecznym przyjacielem brata Idy.

Naturalnie, że powitała go zimno i ceremonialnie. On na to nie zwracał uwagi, podał jej rękę, jak gdyby nic między nimi nie zaszło. Zaczął rozprawić o pięknie spędzonych wieczorach zimowych. — Słuchała tych opowiadań z przestraszeniem, jak złodowaciła!...

A przecież... i tu powtarzało się to samo, co w mieście. Nieustannie razem przebywali, razem się wybornie bawili, a wczoraj... wczoraj wieczorem nastąpiła ta straszna „druga propozycja”.

Wczoraj odbył się wielki obiad, na który zaproszono całą okolicę. Zabawa była wspaniała... Axel naturalnie prowadził ją znowu do stołu. W czasie obiadu zwracali uwagę na przybyłe damy, które były trochę za bardzo wydekoltowane. Biedaczki, sądziły w naiwności ducha, że to ich urok podnosi. Zwracali także uwagę na niezbyt gustowne suknie, przeładowane ozdobami.

Po obiedzie udali się wszyscy na taras, gdzie

podano kawę, a Axel... wymknął się z nią do ogrodu. Widocznie znowu wypija trochę za wiele szampana. Zdała od willi, w głębi alei orzechowej, zaczął znowu ją prosić o całusa.

Tym razem już się tak nie przestraszyła... miała już pewną rutynę; ale mu znowu stanowczo powiedziała: „Na nic się nie zdało prosić mnie o całusa, gdyż go panu nie dam”!

A on, impertynent, na to: „Panno Mimi, pani jest nieostrożną, niech się pani liczy ze słowami!”

Czy rzeczywiście była nieostrożną?... Co on przez to rozumiał?... Co znaczyły te słowa zagadkowe?...

Ach, jakżeby chętnie sprawdziła tę tajemnicę!...

I panna Mimi siedziała teraz w ustroniu i marzyła o tem i owem z jej młodocianego życia, które nic o miłości jeszcze nie wiedziało.

Nagle uczuła gorący oddech na swej szyi; zanim zdążyła się odwrócić ujrzała uśmiechniętą twarz Axela, tuż obok swojej twarzyczki i w chwili gdy chciała krzyknąć, zamknięto jej usta..... całusem!

Zanadto była zmieszana, aby łajać; trzęsła się cała, śmiała, płakała i trzepotała jak zmokły wróbelek.

A on... siedział zupełnie spokojnie na ławeczce obok niej, jak gdyby nic nie zaszło i odezwał się wesoło:

„Panno Mimi, pani rzeczywiście byłaś wczoraj bardzo nieostrożna... Powiedziałaś wyraźnie, że na nic się nie zda prosić panią o całusa...”

Więc?...

Postanowiłem prośby sobie zaoszczędzić!...

O f i a r a .

Naczelnik biura posiadał małeńki ogródek, w którym znajdowała się także grządka poziomek, owoców z niej nigdy prawie nie zbierano. Przytrafiło się jednak lato, odznaczające się takim urodzajem, jakiego najstarsi nawet ludzie nie pamiętali. Wówczas to i grządka w ogródku naczelnika pokryła się tu i owdzie małymi czerwonymi poziomeczkami. Były one bardzo marne, ale zawsze... poziomki!

Dwaj synkowie naczelnika zachwyceni byli owocem. Zagląдали po kilkanaście razy do ogródka, i ciesząc się z poziomek oczekiwali z biciem serca, rychło owoc należycie dojrzeje.

Nie czekali na to długo i razu pewnego wysłała ich matka do ogródka, dla zerwania owoców. Przy wręczaniu im małych plecionych koszyczków, nie żałowała im napomnień, aby czasem jakiej poziomeczki nie zjedli...

Owoc był co prawda apetyczny, dzieci jednak chociaż łykały ślinkę, zachowywały się posłusznie i pracując z wielką wytrwałością, wynagradzały swoją pożądlivość myślą o smacznym obiedzie.

Pracowały tak pilnie, że każdą łyżkę, każ-

dy listek dokładnie przepatrzyły, i najmniejsza, nawet skarłowaciała poziomka nie uszła ich uwagi.

Po starannem zebraniu poziomek, dzieci z tryumfem pobiegły do domu i wręczyły matce jeden, ale zato pełny koszyczek soczystego owocu.

Żona urzędnika starannie poziomki ułożyła i ozdobiła koszyczek zielonym liściem. Dzieci z otwartymi buziami przyglądały się tej robocie.

Po poprawieniu tej i owej poziomki, dokładniejszym ułożeniu liści, matka odezwała się:

— Weźcie czapeczki dzieci; pójdziecie naprzeciwko do landrata, pokłońcie mu się grzecznie i poproście, żeby raczył przyjąć ten skromny koszyczek poziomek. Powiecie mu, że matka liczy na to, iż one pokrzepią go w chorobie.

Dzieci stanęły jak wryte, nie odezwały się przez chwilę ani słówkiem, zdawało się, że nie pojmują słów matki. Ta jednak, wkładając im czapeczki na głowy i poprawiając ubranka, zalecała, aby się dobrze sprawili i pospieszyli się, poczem wręczyła starszemu koszyczek i wyprawiła małeńców. Chłopcy, spoglądając na siebie, w milczeniu, szli powolnie w kierunku znanego im domu.

W wygodnym fotelu, otulony poduszkami i pledami, siedział landrat, zmizerowany długotrwałą chorobą.

W wazonach umieszczone były wspaniałe bukiety, przysyłane codziennie jako prezenty od dam z miasteczka.

Na małym stoliczku, obok fotelu, stała prześliczna patera z owocami, między którymi szczególną zwracały uwagę olbrzymie okazy poziomek...

Dzieci, stanawszy we drzwiach, pokłoniły się zgrabnie, poczem starszy, ze szczerą naiwnością, powtórzył słowa matki.

Chory wyciągnął rękę po koszyczek i skrzywiony, zaczął przyglądać się jego zawartości.

Wreszcie uśmiechnął się pobłażliwie i odezwał protekcyjnie:

„Pokłońcie się waszej kochanej mateczce i powiedzcie, że dziękuję serdecznie za prezencik. Cięższy mnie to bardzo, iż o mnie pamiętała...”

Dzieci opuściły salon landrata; zaledwie jednak za drzwiami się znalazły, usłyszały słowa:

„Zono, chodź tutaj, moja droga, i zabierz te poziomki, przysłane przez naczelnika biura. Mieli także czem mnie obdarowywać... Są tak marne, że możesz je bez żadnej szkody oddać służbie; niech je sobie zjedzą!...”

Malcy, słysząc to, długo stali w przedpokoju w niemem milczeniu, patrzeli na siebie, nagle obaj... wybuchnęli gorzkim płaczem.

Bajka wigilijna.

Pewnego razu był sobie bardzo niezdarzony chłopczyzna. Zawiniło tu zapewne wychowanie, które było, łagodnie mówiąc, wielce niedostateczne. W chłopcu tym, widocznie już od urodzenia, tkwił urwis.

Niezdarzony ten malec, w przeddzień wilji, udał się w stronę Vimmelskaftu. Ubranie miał podarte i zaszargane... Nie do uwierzenia, jak ubranie niszczył. Rok dopiero minął, jak otrzymał od nauczyciela stare, znoszone spodnie, a obecnie z nich pozostały zaledwie strzępki, na których widok, doprawdy doznawało się uczucia, jak gdyby mały Tordenskjold tylko na gwoździach siadał.

Wieczór był wprawdzie zimowy, ale dość łagodny i przyjemny dla ludzi zdrowych i dostatnio odzianych. Gdy się jednak spojrzano na chłopca, zdawało się, że Kopenhaga jest Syberją, a on bliżki zmarznięcia. Rączki trzymał stulone w kulkach przed ustami, a na brudnych, opuchniętych policzkach, widniały ślady łez.

Że to było udawanie — najlepszym dowodem, iż co chwilę przystawał przed wspaniałe oświetlonymi oknami wystaw sklepowych; gdyby marzył rzeczywiście, to byłby, jak chart, zmykał do domu.

Kto go uważniej obserwował, przyglądającego się wystawom, mógł dostrzedz w jego małych, sprytnych oczach wyraz chciwego pożądania.

Nie wyglądało to tak, jak u innych dzieci, które także miewają chęć posiadania wszystkiego, co zobaczą. Nie było też tak zachwycającem, jak gdy małe, tłusciutkie łapeczki, wyciągają się do błyszczącego przedmiotu i rozlega się szebiot: „Mamo, chciałbym to dostać na gwiazdkę!” A kiedy matka ucałuje dziecinę i zapewni: „Dobrze, jeżeli dzidzi będzie grzeczne, to dzidzi cacko dostanie” — zaraz są zadowolone i śmieją się radośnie.

Inaczej było z niezdarzonym chłopczyką; wydawał się tak chciwy, że wprost wzbudzał obawę. A raz, gdy pewna miłutka dziewczynka spojrzała na niego i szepnęła do swej matki: „Fe, co za obdartus!” — był tak niegrzeczny, że splunął i powiedział nawet jakieś nieładne słowo. Na szczęście matka dziecka była energiczną i zanim chłopak drapnął, otrzymał kilka uderzeń parasolem.

Szczególniej pięknie było na Östergade. Jasno, jak w najpogodniejszy dzień, a z dobrze ogrzanych sklepów, wydobywał się na ulicę zapach pierników i owoców.

Wobec tego czyż mogli być ludzie źle usposobieni?... Wymijali się na ulicy z uśmiechem i uprzejmością, jakby najserdeczniejsi przyjaciele. Gdy jeden drugiego potrącił, natychmiast przeproszał grzecznie; nawet starszym damom mężczyźni okazywali szacunek i uprzejmość.

Tylko niezdarzony chłopczyka kręcił się wśród tylu miłych i sympatycznych osób ponury, z nieprzyjemnym wyrazem twarzy.

Po długim wałęsaniu się, stanął przed sklepem z pieczywem, wyduł nozdrza i zaczął wciągać zapach placek i pierników.

Wspaniale, szklane drzwi, ozdobione jedwa-

bną, niebieską franką, co chwila otwierały się, a eleganckie damy, obarczone licznymi paczkami, wychodziły lub wchodziły do sklepu. Za każdym razem przez drzwi wypływał na zewnątrz strumień miłego zapachu, od którego chłopak nie był w stanie nosa oderwać.

Skradał się do tego raju bliżej... bliżej, aż wreszcie, gdy drzwi przez zapomnienie na chwilę zostały otwarte, wsunął się do środka i stanął pokornie między dwoma koszami, pełnymi świeżych bułeczek wiedeńskich.

Przed ladą sklepową stało mnóstwo pań, nikt więc na niego nie zwracał uwagi. Nie było też nic szczególnego do oglądania w tym chłopcu, obdartym, trzęsącym się z pożądliwości i rzucającym niespokojnie podejrzliwy wzrok to w prawo, to w lewo.

W tejże chwili weszła do sklepu jakaś wysooka, piękna dama, z prześliczną, złotowłosą dziewczynką, istnym aniołkiem.

Duże, niebieskie oczy, nadawały twarzyczce wyraz niewysłowionej łagodności. Gdy mała ta istotka spostrzegła brudnego, źle ubranego chłopczykę, oczęta jej zapęłniły się łzami i ze współczuciem odezwała się:

— Ach, jak biednie ten chłopiec wygląda!... Mamo, czy mogę mu ofiarować moją „piątkę?...”

Dama zmierzyła chłopca od stóp do głowy, na twarzy jej ukazał się gest zdziwienia, co było zupełnie zrozumiałem ze względu na jego liche ubranie, poczem odezwała się do córeczki:

— Moje kochane dziecko, jeżeli to ci tylko przyjemność sprawi, oddaj mu zaoszczędzone pieniądze.

Dziewczynka zaczęła przetrząsać mufkę i oddała piątkę, oddawała ją biedakowi, trzymając się jednocześnie silnie fałdów sukni mateczki.

— Weź, to twoje — zaszcebiotała z pewnym odcieniem obawy.

Chłopiec, nie przyglądając się nawet monecie, wyrwał ją z taką chciwością, że dziewczynka aż odskoczyła z przestachu i tuląc się do matki, szepnęła:

— Mamo, ten chłopak jest niegrzeczny; nawet „dziękuje” nie powiedział!

— Mój chłopcze — odezwała się urażona dama — pamiętaj w przyszłości zawsze grzecznie podziękować, jeżeli cię kto z litości czem obdarza!...

Pó tych słowach zwróciła się do lady sklepowej i obdarowała zasmuconą córeczkę smacznym ciasteczkiem, co małą od razu uspokoiło i pocieszyło w tym pierwszym jej zawodzie.

Nie mogła jednak darować urazy chłopcu i gdy matka zajęta była załatwianiem sprawunków gwiazdkowych, rzucała nieustannie wzrok podejrzliwy na niegrzecznego ulicznika.

Chłopczyzna nie pojmował zupełnie urazy, stał na miejscu jak wryty i nie mógł oderwać oczu od koszów z pięknymi wiedeńskimi bułeczkami. Kurczowo trzymał się krawędzi jednego z koszów, wzrok rzucał niespokojnie na wszystkie strony, jakby się chciał upewnić, czy kto na niego nie zwraca uwagi, poczem gorączkowo ręce zagłębił w pieczywie.

W tejże chwili dziewczynka krzyknęła przerażona:

— Mamo, on kradnie!

Zanim chłopiec zdążył dobiec do drzwi, chwyciła go za kołnierz jakaś energiczna służąca. Nie mógł się bronić, gdyż ręce miał zapelnione bułeczkami.

W sklepie powstało zamieszanie, damy wystraszone poczęły krzyczeć:

— Złodziej! złodziej! to okropne!

Sługi dziwiły się, że w śródmieściu coś podobnego się dzieje i oskarżały policję o niedbalstwo, mała dziewczynka poczęła głośno płakać, a gdy się po chwili zjawił policjant, z przerażeniem jęczała:

— Mamo, mamol to okropne!

Wyjaśnień długich nie było, bo chłopak pochwycony został na gorącym uczynku; tylko sklepowa—przystojna, dobrej tuszy niewiasta, oświadczyła, że dla tych kilku bułeczek nie warto robić takiego kramu.

Dama jednak, z płaczącą dziewczynką na ręku, podeszła w tejże chwili do policjanta i gniewnym głosem odezwała się:

— Czuję się w obowiązku oświadczyć panu, jako przedstawicielowi władzy, że chłopak ten nie kradł z głodu. Moja Emmy — tu dziecko poczęło łkać głośno — tu przed chwilą ofiarowała mu piątaka...

Na słowa te chłopiec oniemiał, i nie próbując nawet się tłumaczyć, stał jak wryty; usiłował tylko ugryźć kawałek bułki, której nikt mu dotąd nie odebrał.

W tejże chwili służąca, która dotąd trzymała chłopaka w swej żylastej dłoni, potrząsnęła nim tak silnie, że kajzerka wypadła mu z ręki na podłogę.

Policjant nie robił ceremonji z niezdarzonym chłopakiem, dał mu w kark, chwycił za kołnierz i pokłoniwszy się damom, wyszedł z nim, zapewniając obecnych, że temu szelmie mały wypoczynek w kozie nie zaszkodzi.

Tylko Emmy była niepocieszoną. Nieustannie płakała na myśl o chłopcu złodzieju.

— Mamo, okrutnie się boję, żeby mu policja jakiej krzywdy nie zrobiła.

— Moje dziecko, nie martw się tym złym chło-

pcem! Policja mu nic złego nie zrobi, najwyżej za-
aplikuje mu porcję batów, a to wyjdzie mu z pe-
wnością na dobre, jeżeli, naturalnie, nie jest z grun-
tu zepsuty. Widzisz, powinnaś teraz prosić Boży
w paciorku, żeby przebaczył winy temu niegrze-
cznemu i zepsutemu dziecku.



Na balu.

W oszklonej werendzie, bogato ozdobionej
egzotycznymi roślinami i mnóstwem kwiatów do-
niczkowych, wypoczywała na małej ławeczce dama
po skończonym dopiero co walcu. Obok niej stał
przystojny, młody mężczyzna. Z sali dochodziły
dźwięki muzyki stopniowo przechodzące w coraz
większe pianissimo, aż wreszcie zamilkły zupełnie.

— Na pana nie liczyć nie można!

— Czy to ma oznaczać, że niewłaściwie się
zachowuję?

— Naturalnie. Jesteś pan zarozumialec; są-
dzisz, że wszystkie damy które panu cokolwiek
przyjaźni okażą, są zaraz w panu zakochane!

— O!... tak grzesznych myśli nie mam.

— W dodatku jesteś pan natrętny!

— Tylko grzeszny.

— Tego nierozumiem.

— Wiem, że pewne młode damy, bardzo, na-
wet zanadto dobrze wychowane, bywają dla takie-
go, jak ja osobnika bardzo źle usposobione. A prze-
cież ten osobnik nic im złego nie uczynił.

— Panie doktorze!...

— Łaskawa panil!...

— Pan jesteś nieznośny!

— Przyzwyczailem się już do podobnych komplementów i znajduję je... zachwycającemi!...

— Czy pan wie, co w nim jest oburzającego?...

— Nad tem nie zastanawiałem się nigdy!

— Jesteś pan fałszywy, jak—kot!...

— O!...

— Jednak nadskakujący wszystkim damom, jednak pochlebny, jednak umizgający się, jednak niezdolny, jednak drwiący, jednak śmiejący się...

— Czy nie wolno mi już śmiać się?...

— Wolno, jeżeli jest z czego.

— A czy teraz wolno mi uśmiechnąć się.

— Proszę być przywoitym i... siadać. Tu na ławeczce obok mnie jest jeszcze trochę miejsca wolnego.

— Siadam!... I cóż, zadowolona pani?... Siedzimy tu jak dwie kury zakochane na drątku.

— Pani!...

— Czy wolno prosić o pożyczanie na chwilę wachlarza?...

— Czy wolno prosić, żeby pan był choć chwilę przywoitym?...

— Pani tyle trudu sobie zadaje?...

— Idź pan sobiel... nie będę z tobą rozmawiała!

— Kiedy tu tak dobrze siedzieć!...

— Powiedz mi doktorze, ale szczerze, czy bywasz czasem w kościele?...

— Ta-a-k.

— Co tam zazwyczaj słyszysz?

— To zależne jest od tego, komu pogrzeb wyprawiają.

— Jesteś pan wstrętny.

— Dziękuję za komplement.

— Czy pan wiesz, co o tobie mówią?...

— Nie.

— Że jesteś bezbożnik.

— Tak? Myślałem że co gorszego! Byłem pewny, że posądzają mnie o jakie morderstwo, albo wielożeństwo...

— Fe... doktorze, jak można coś podobnego zbywać drwinami!

To najdosadniej dowodzi, że jesteś nie-szczery.

— Szczęśliwy się czuję, iż nareszcie pani się przekonała, że nigdy tak nie myślę, jak mówię.

— Czy pan aby w rzeczywistości jest takim?

— Jestem, niestety, wykolejony, a wie pani dlaczego?

— Doprawdy, zaciekawiasz mnie doktorze...

— Kocham nieszczęśliwie. Pozwoli pani to opowiem oną tragedję...

— Doktorze... to nie jest nieszczerzość!

— Właśnie, że to jedynie nieszczerzość!—Minał już rok.—Ostrożnie, bo pani ławeczkę przewróci!—Byłem młody, swobodny, pełen nadziei świetnej przyszłości, ożywiony wzniosłymi ideałami, które wszystkie młodzieńcze dusze przepełniają.

— Postępowanie jednak pańskie, pomimo tych ideałów, nie było bez nagany.

— Niecne oszczerstwo, żadna wina nie ciążyła na moim sumieniu.

— Więc wówczas uczęszczał pan jeszcze do kościoła?

— A jakże... byłem w kościele, gdy jedna z moich licznych kuzynek przystępowała do konfirmacji, a także byłem, gdy zaproszono mnie na chrzestnego ojca. Trzymałem do chrztu dziecko mego przyjaciela.

— Więc pan ma też przyjaciół żonatyich?

— Żonatyich nie, tylko...

— Jakto, *tylko?*

— Łaskawa pani, zapuśćmy na tę sprawę zasłoną, gdyż pani nie wypada jej słuchać, mnie zaś

to opowiadanie nie sprawiłoby przyjemności. — A więc byłem młody i niewinny. Wówczas, niestety znalazłem się pewnego razu na balu.

— Na balu?... Czy to co złego?

— Niechże pani nie żartuje, ja mówię serjo. — Na tymże balu poznałem ją!... Była piękna... uroczona piękna!... Wysoka, kibić jak wyrzeźbiona, włosy blond, oczy pełne ognia, zębki—jak perły, pleć delikatna, a szyja cudowna, tak leżała...

— Proszę się zbytnio nie zapuszczać w szczegóły!...

— Jestem właśnie na ukończeniu. Wreszcie wiadomości moje dalej nie sięgają. Brak mi jedynie ust, do nich też wkrótce przejdę.—Tańczyłem z nią kadryla i trzeciego walca. W tym ostatnim odpaliła nawet jakiegoś natrętnego oficera marynarki i rzuciła się ze mną w wir, w takt ulubionej melodji Straussa. Gdy przy dźwiękach poloneza udawaliśmy się do stołu, zaproponowałem jej swe ramię, a ona, rumieniąc się jak wiśnia, stanęła ze mną w parze. Gdy po kolacji jedliśmy lody, wycisnąłem gorący pocałunek na jej ustach, tych pięknych, cudownych, miękkich jak puch usteczkach!.. Rozkosznych tych usteczek nigdy nie zapomnę.— Niech pani nie próbuje powstać z ławki, bo to się nie uda; siedzieć będziemy razem, aż do wspólnego powstania!

— Historji tej możesz pan nie kończyć!... Dnia następnego otrzymałeś pan list, wyjaśniający, że był to niewinny żarcik zarówno z pańskiej, jak z mojej strony. Był tam nawet mały dopisek z prośbą do pana, tej jednakże zadość nieuczyniłeś! Doktorze... nieładnie z pańskiej strony przypominać tę głupią sprawę!..

— Za pozwoleniem, pani się myli, ta sprawa nie jest głupią!...

— Więc pan inaczej sądzi?... I to się nazywa szumnie—pańską nieszczęśliwą miłością?...

— W słowach tych przebija się zawziętość!... Pozwól mi pani jednak wypowiedzieć się.—List był zupełnie taktowny i słuszny. Postanowiłem nawet w odpowiedzi wykaligrafować coś równo-brzmiącego... lecz powstrzymałem się... czy pani wie; dlaczego?... Oto od czasu...—mogę śmiało użyć tego wyrażenia—od czasu naszych zaręczyn nie mogłem zapomnieć usteczek pani... tych usteczek świeżych, gorących, miękkich jak puszek, namiętnych... Usteczka te były przyczyną moich szaleństw, mojej bezbożności, mego zwątpienia! Naprawdę szukałem czegoś podobnego... naprawdę!.. Łaskawa pani...

— Cóż?

— Dziś... po upływie roku znowu spotykamy się tutaj... w tem samym miejscu, otoczeniu... wszystko tu zupełnie takie jak wówczas...

— Tylko, że ja obecnie żadnemu oficerowi nie odmówiłam tańca.

— Znowu przy stole siedzieliśmy obok siebie z tą różnicą, że przed rokiem prosiłem o pani rękę. To było głupie!...

— Mógłby pan więcej być uprzejmy.

— Ale za to panią ucałowałem. To było najrozsądniejsze, co wówczas uczyniłem.

— Panie doktorze!...

Postępowanie moje powinno było inny wzięć obrót.

Numer drugi—całus — należało postawić na miejsce numeru pierwszego, a numer pierwszy—oświadczyń—mogły dotąd nie istnieć.—Jeżeli pani będzie chciała wstać przemocą, rozerwie pani suknię... Tak, tego roku poprawimy tę formułkę matematyczną, aby było

Pa-nie-do-ko-rze!

— Czy mogę teraz prosić do tańca?—Niech pani uważa, raz, dwa, trzy!... poszło wyśmienicie, ławeczka nie przewróciła się. Niech pani pozwoli, tren sukni trochę poprawię... o, tak!...

— Czy wiesz doktorze, że powinnam się śmiertelnie na pana pogniewać!...

— Wiem o tem!...

— I powiedzieć mu...

— Niechże wyrok brzmi łagodnie... Proszę pamiętać, że wróciłaś pani zatwardziałemu grzesznikowi wiarę i szczęście... naprowadziłaś go na drogę... Muzyka już gra; wolno prosić?...

Symulant.

Naczelnik szpitala, pomimo najsumienniejszych badań nie mógł rozpoznać przyczyny choroby pacjenta № 13.

Rekrut z 3-ciej kompanii wysłany został do szpitala z powodu nagłego, silnego bezwładu lewej nogi. Nie mógł odbywać zupełnie ćwiczeń, gdyż— jak się wyrażał wyszukany kopenhagskim żargonem—przy najmniejszym nawet wysiłku, odczuwał, że siła życia z kończyn nożnych gwałtownie mu ulatuje.

Pacjent № 13, w życiu cywilnem piastował godność czeladnika stolarskiego i był bardzo wesołym młodzieńcem.

Niech mnie djabli poćwiartują—mówił gniewnie naczelnik szpitala do swoich asystentów po pierwszym opukaniu nogi N-ru 13-go—ale choroba ta, to zwyczajne łgarstwo! Ten filut, to tylko sprytny symulant. Posiadamy jednak, dzięki Bogu, środki, przy których pomocy prawda wypłynie na wierzch. My smyka tego wkrótce postawimy na nogi i będzie maszerował jak stary, wyćwiczony żołnierz.

Rzeczywiście noga N-ru 13-go wcale na chorąg nie wyglądała. Była to jedna z najpiękniej

uksztaltowanych nóg, jaką tylko sobie wyobrazić można; wprost klasyczna, specjalny okaz do modelowania.

A pomimo tych wszystkich zalet nogi, naczelnik szpitala mylił się, utrzymując, że jego wojskowa metoda kuracyjna szybko działać zacznie, chociaż była bezwzględna i w całym tego słowa znaczeniu stosowana.

Kurację rozpoczęto od najściślej djety, stosowanej tylko na oddziałach chorób gorączkowych, a jednocześnie obłożono nogę synopizmami. Gdy to nie pomagało, zastosowano elektryzację, początkowo łagodną, a potem... coraz silniejszą.

Wspaniały był widok elektryzacji nogi N-ru 13-go. Pod wpływem kolosalnego ładunku elektryczności, mięśnie drgały bajecznie, omal, że dźwięku nie wydawały. W czasie powyższej egzekucji chory pomimo woli poruszał się, od czasu do czasu wyrwał się nawet z piersi jęk bolesny, noga jednak... pozostawała bezwładna.

Przed i po elektryzacji — którą naczelnik lekarza osobiście potęgował — chorego stawiano przed łóżkiem, chora jednak noga nie mogła utrzymać ciężaru jego ciała i biedak padał na ziemię.

Niezależnie od kuracji elektrycznej, stosowano także wodną.

Temperatura wody przepisywana była naturalnie, o ile możności jak najniższa. N^o 13-ty utrzymywał, że w kąpeli marznie jak pies, dodawał jednak, iż nawet w lodzie chętnieby się kąpał, dla wyleczenia nogi. Kąpiele jednak, zarówno jak elektryzacja, ulgi mu nie sprawiały.

Między posługaczami uchodził za najniepopularniejszego pacjenta, mieli przy nim bowiem za dużo roboty; dwa razy dziennie musieli go nosić do łazienki, kłopot mieli z elektryzacją, wreszcie spadł na nich trud nieustannego podtrzymywania go, gdyż inaczej upadał i zawsze na lewy bok.

A pomimo sprawiania takiego kłopotu, pomimo podejrzeń o symulację, przyznawano, że jest wzorowym pacjentem. Zawsze uprzedzającą grzeczną, miłą w obejściu, — niemal gentleman — nigdy nie okazał bądź słowem, bądź skrzywieniem twarzy najmniejszego niezadowolenia. Nawet gdy mu stosowano zbyt ostrą kurację, zdawał się być niewymownie wdzięczny za trudy podejmowane dla przywrócenia mu zdrowia. Pomimo widocznych objawów niewiary lekarzy w jego chorobę, zdawał się być zupełnie nieświadomym podejrzeń, i wierzył święcie, że odpowiednio do stanu choroby z nim postępują. Zmuszał wprost naczelnika szpitala i całe otoczenie do podziwiania go.

Po ośmiodniowej ściślej djecie — bułka, herbata i mleko — lekarz odezwał się: Sądzę, że rekrut powinien nogę swoją choć ockolwiek w ruch wprowadzić. Należy zrozumieć, że pacjenta z tak słabymi pedałami nie możemy przeladowywać obfitszemi porcjami.

Czy rekrut nie ma czasem ochoty na smaczny befsztyczek?

N^o 13-ty spojrział z wzruszającą wdzięcznością na naczelnego lekarza i odpowiedział: Dzięki serdeczne, nie łaknę tego dobrobytu; jestem zupełnie zadowolony z tego pożywienia, jakie obecnie otrzymuję.

— Zawzięta bestja — zamruczał naczelnik szpitala, gdy się znalazł w sąsiedniej izbie. Najwytrawniejszy to łotr jakiego w życiu widziałem.

Tego dnia wydany został rozkaz, aby pacjenta N^o 13 zważono.

Tu nadmienić należy, że przed przepisaniem mu djety ściślej, także był brany na wagę.

Okazało się, że po 8 dniach kuracji głodowej, przybyło mu 3 funty ciała.

Po tym odkryciu naczelnik szpitala okazywał N-owi 13-mu szczególną sympatję.

Nie ulega wątpliwości — mówił lekarz — że to sztuczki szelmoskie, ale przyznać należy, znakomicie wykonywane. Łotr ten na pewno skończy karierę w więzieniu; dałbym jednak chętnie 10 koron, żeby tego finału tutaj się nie doczekał.

Kuracja doświadczalna, — jak się naczelnik szpitala zwykle w takich przypadkach wyrażał — będzie w dalszym ciągu stosowana.

Robił to dla zasady, w rzeczywistości bowiem utracił wszelką nadzieję doprowadzenia N-ru 13-go do pełzania na czworakach; rozmyślał nawet nad możliwością stawienia go przed sądem karnym. Kurację więc „męczeńską” bez zmiany prowadzono.

Pewnego dnia naczelnik szpitala był jakoś źle usposobiony. Z chorymi szorstko się obchodził, posługaczy lajał, a gdy przybył do pacjenta № 13-ty, wpakował mu taką porcję elektryczności, jakiej nigdy dotąd żadnemu choiemu nie stosowano.

Na około łóżka, na którym ofiara wyla się z bóleści, stali: asystent, kaprale, felczerzy i panna Svingstrup, pielęgniarka. „Piękność” ta, jak ją powszechnie nazywano, o dużych, czarnych oczach, wydatnym biuście, bujnych włosach, nie miała wprawdzie lat dwudziestu, ale czterdziestki z pewnością nie przekroczyła.

Wszyscy wyżej wymienieni z podziwem przyglądali się elektryzacji chorego, aplikowanej z wszelką bezwzględnością.

Nagle № 13 krzyknął rozpaczliwie, chwytając się kurczowo krawędzi łóżka.

Panna Svingstrup nie mogąc widocznie ukryć zdenerwowania, wybuchła spazmatycznym płaczem i zrozpaczona wybiegła do obok znajdującej się izdebki dla pielęgniarek; tam prawie bezprzytomna padła na otomankę.

Naczelnik szpitala popatrzył na nią, polecił

asystentowi wylać kubelek zimnej wody na głowę pielęgniarki, sam zaś, rozmyślnie, puścił jeszcze kilka silnych prądów elektrycznych pacjentowi.

Po ukończeniu wizyt, gdy już był na schodach, odezwał się do asystenta: „Czy zauważył kiedy kolega u panny Svingstrup skłonność do sentymentalizmu?”

— Nigdy nie podejrzewałem jej nawet o podobne uczucie.

— Ja także nie! — A jak się zapatruje na ten wypadek nasza młoda wiedza?...

Hm... prawdę mówiąc, panna Svingstrup jest w latach... hm... przejściowych, dla tego sądzę, że zaszyły wypadek uważać należy za przyczynę... która...

— Szanowny kolego, jak widzę, nie jesteś znawcą ludzi. Ja sądzę inaczej... Teraz jesteśmy dopiero na drodze do rozwiązania zagadki.

— Jakiej zagadki?

— Dotyczącej N-ru 13-go. Proszę zatem mnie posłuchać i wykonać dokładnie co powiem. Dziś po południu, polecisz pan, aby pielęgniarka Svingstrup przygotowała odpowiednio salę chorych dla dyfterytyków, gdyż w szpitalu epidemicznym okazał się brak miejsca. Ze względu na niebezpieczeństwo przeniesienia zarazy, surowo zabronisz pan przeznaczonym do obsługi sali felczerom i pielęgniarkom z kimkolwiek z personelu szpitalnego komunikować się, a nawet rozmawiać. Innemi słowy mówiąc, będzie to zwykły areszt domowy. Pannie Svingstrup wyznaczysz pan pacjentów, jakich uznasz za właściwych, № 13 jednak powinien być przeniesiony natychmiast do innego skrzydła szpitalnego. Umiesz go pan najlepiej u naszej Ksantypy Mortensen. Pojmuje kolega?

— A więc pan sądzi?... Asystent zaczął się śmiać filuternie.

— Zarządź pan tylko tak, jak objaśniłem!

Już dwa dni leżał pacjent № 13 na oddziale pani Mortensen, naturalnie z zastosowaniem tej samej troskliwej opieki, djety ścisłej, zimnych kąpeli i elektryzacji.

Gdy dnia trzeciego naczelnik szpitala zjawił się przed łóżkiem chorego i zapytał o zdrowie, otrzymał odpowiedź:

— Po tych silnych elektryzacjach odczuwam pewne polepszenie; zdaje mi się nawet, że do chorej nogi nieco sił przybyło.

— Bogu dzięki!—Odrazu byłem pewny, że elektryczna kuracja będzie pomyślną. Jak przez dzień dni stosować będziemy bardzo silne prądy, to odrazu staniesz na nogi i będziesz jeszcze dzielnym żołnierzem.

Po oświadczeniu tem, lekarz uradowany zaordynował wszystkie najostrejsze środki, jakie uważał za właściwe dla powrócenia zdrowia choremu.

Nadzieje naczelnika szpitala ziściły się prędzej, aniżeli się spodziewał, nie upłynęło bowiem tygodnia, a noga N-ru 13-go zupełną odzyskała władzę.

Przed wypuszczeniem go ze szpitala, po ostatecznym zbadaniu zdrowia, wezwany został do kancelarji.

Naczelnik szpitala w czapce wojskowej na głowie, przyjął go nieco szorstko.

— Pacjencie № 13-ty, mógłbym cię wsadzić do kozy; czy wiesz o tem?

— Wiem, panie naczelniku!

— Ja to może jeszcze zrobię, bo prawdę mówiąc, to nawet obowiązek tak mi nakazuje!... No, do diabła, czemu się nie odezwiesz człowieku?... Czy nie masz na swoją obronę?...

— Panie naczelniku, to najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałem!

— Gdzie ją poznałeś?...

— Tu, w szpitalu, odwiedzając chorego towarzysza.

— A potem?

— Potem... po wspólnej naradzie postanowiliśmy, że najlepiej będzie, jak się zamelduję jako chory.

— Człowieku, areszt cię nie minie!...

— Ja wiem, do tego przyjdzie z pewnością... tylko zachodzi taka rzecz...

— Jaka?

— Ona ma zostać matką. Dziś rano mi o tem doniosła.

— Aż tak?... I cóż dalej?...

— Więc pragnąłbym najszczerzej ją pojąć za żonę... naturalnie po odbyciu służby wojskowej. Panie naczelniku, to najpiękniejsza kobieta jaką w życiu widziałem; a jak ona wybornie gotuje!...

Naczelnik szpitala, rzucił czapkę do kąta, zaczął drapać nerwowo głowę, mruzczał coś, machnął rękami, wreszcie odezwał się:

— Pal sześć!... skargi do sądu pisać nie będę, ale... słowo, rzecz święta!... musisz mnie zapewnić, że z tą dziewczyną się ożenisz, a mnie na chrześnego ojca zaprosisz!... Do licha, to już rzecz bagatelna; takiej drobnostki mam chyba prawo się domagać!... Jeżeli jednak zamiast chłopaka będzie dziewczynka, to jej dasz imię „Elektryna“; imię to nawet możesz skrócić na „Trina“... cóż, zgoda?...

— Według rozkazu, panie naczelniku!...

W szpitalu.

W szpitalu garnizonowym odbywała się ranna wizyta. Wysoki, barczysty naczelnik szpitala, w czapce uniformowej na głowie—co było jedyną wskazówką piastowanej godności—wkroczył pierwszy na salę. Obok niego szedł szczupły, błady asystent, siłący się płaskimi conceptami spędzić chmurę z wysokiego ozoła groźnego zwierzchnika. Za nim postępował aptekarz, wyróżniający się okrągłą, proboszczowską twarzą, ozdobioną okularami, spadającymi nieustannie z szerokiego nosa.

W pewnem oddaleniu, trzymała się cała czereda zaspanych pielęgniarzy, kapralów, posługaczy i tym podobnej mięszaniny. Na samym końcu tego zaimprovizowanego pochodu trzymał się sierżant, od samego rana trochę „wstawiony”, znany jako zdobywca serc płochych kucharek i pielęgniarzek.

Lyknął już w kuchni, z należną jego randze powagą, potężny kielich portweinu, przeznaczony dla pacjentów, i wyraził szczerze uznanie ekonomowi, za dostarczenie zdrowego i niefalszowanego towaru do szpitala.

Naczelnik szpitala był w nieszczególnym humorze, przez całą prawie noc zajęty był praktyką pry-

watną, we dnie miał także czas ograniczony, a tu, jak na złość, przybyła znowu pokaźna liczba nowych pacjentów.

Zgniewany węszył wszędzie symulację, irytował się, a przebiegając korytarze, stąpał tak ostro, że deski pod nim trzeszczały.

Do sali chorych wpadł wprost jak burza, potrząsając posługaczki, felczerów i łóżka chorych. Mruczał, kłął, beształ asystenta, rzucił się na pielęgniarki, wymyślał posługaczom, chorym przepisywał bezlitośnie ścisłą dietę, prysznic i olej rycynowy, bez względu na to, czy pacjent był chory na oczy, czy żołądek.

Wreszcie z trzaskiem otworzył drzwi sali № 27 i tu swój pochód wstrzymał.

Przystanął przy łóżku obłożnie chorego na zapalenie płuc pacjenta. Leżał on z zamkniętymi oczami, oddychał ciężko, zapadłe policzki obrosły czarną, nierówną brodą, czoło perliło się dużymi kroplami potu.

— Czy śpi?—zapytał lekarz półgłosem.

— On jest bardzo chory — wtrąciła nieśmiało pielęgniarka, usprawiedliwiając chorego.

— Hm... hm... hm... — zamruczał naczelnik, spoglądając na tablicę nad łóżkiem, badając wieczorną i ranną temperaturę. Po chwili zmienionym, łagodnym głosem zapytał po cichu: — Czy w nocy spał trochę?...

— Nie, panie naczelniku, całą noc fantazjował. Nieustannie przywoływał matkę.

— Biedny chłopak!...

Lekarz stał kilka minut milezący, patrząc z współczuciem na chorego; dopiero gdy spostrzegł, że Mads Hansen otworzył oczy, pochylił się nad nim i powitał z uśmiechem:

— Dzień dobry, kochany Mads, poznajesz mnie?...

— Według rozkazu, panie naczelniku.

— Tęsknisz pewnie za wioską rodzinną... za matką?... Jak uważasz, możeby do niej napisać, żeby cię odwiedziła?...

— Według rozkazu, panie naczelniku.

— Gdzie mieszkają twoi rodzice?...

— Według rozkazu, panie naczelniku.

— Może Mads sobie przypomni, jak się wieś jego nazywa?...

— Matka... matka!... Najdroższa moja matka!...

Naczelnik szpitala zwrócił się do otoczenia:

— Czy który z towarzyszków Madsa nie zna adresu jego rodziców?...

— Nie znają—odpowiedział jeden z pielęgniarczy. — W jego rocie niema ani jednego z okolicy pacjenta. Nikt go bliżej nie zna. Utrzymują, że zawsze tęsknił do rodzinnych stron; przyjaciół nie miał; żył w odosobnieniu, a obecnie, biedak, nie może dać żadnych wyjaśnień. Próbowaliśmy co z niego wydobyć, nic jednak nie jest w stanie powiedzieć.

Naczelnik rzucił opaskę na puste łóżko, przystąpił do Madsa i zapytał łagodnie:

— Czy wytrzymasz, jak cię na chwilę posadzimy?... Może spróbujesz?... Pomoże cię podnieść poczciwa panna Holm i ten krzywonogi hultaj!... Momencik tylko trwać będzie badanie... Potem zobaczysz... za parę dni będziesz zdrow... odesłemy cię do matki... do domu...

Lekarz otarł choremu pot z czoła, pielęgniarka i posługacz ujęli pod ręce i podnieśli nieco. Skorzystał z tej chwili naczelnik i przyłożywszy ucho do pleców Madsa, począł badać stan choroby.

— No, już dobrze, mój drogi, możesz się położyć...

Naczelnik zwrócił się do asystenta, stojącego w milczeniu i wyszeptał:

— Ten już gotów!...

Zwróciwszy się do chorego, zawołał wesoło: To zadziwiające, jak od wczoraj Mads się poprawił. Wkrótce będziesz znowu dzielnym żołnierzem. Potrzeba tylko lepiej się odżywiać... Nie masz mój kochany na co apetytu?

Mads popatrzał na lekarza wzrokiem zdziwienia, dowodzącym, że słów jego nie pojmuje.

— Pomyśl tylko, może masz apetyt na jakie kurczátko?... Proszę się nie żenować i powiedzieć; wszak jesteś na służbie państwowej, a państwo niczego nie skąpi obrońcom ojczyzny. Może wypijesz kieliszek portweinu?...

— N...i...e!

— Z pewnością przekładasz koniak nad wino?... Także nie?... Zatem szklaneczkę piwa?... A może grzanego wina?...

Na wszystkie te propozycje Mads okazał się nieczuły. Naczelnik zaczął rozpytywać się otoczenia, czy nie zna upodobań chorego, nikt jednak nie znał ich.

Lekarz atoli nie tracił nadziei.

— Cała sprawa polega na fantazji. Przy cierpliwości wpadniemy na rzecz właściwą. Dotąd nie widziałem żołnierza, któryby nie miał skłonności do alkoholizmu.

Niestrudzenie począł wyliczać różne marki wina, gatunki groku, piwa, Mads jednak na najpóźniejsze trunki okazywał obojętność, aż w końcu, gdy cierpliwy lekarz zapytał:

A co Mads sądzi o szklaneczce ponczu arakowego z jajkiem?... — na ustach chorego zaigrał uśmiech, wywołany wspomnieniem świąt Bożego Narodzenia. Szeptem niewyraźnym powtórzył, lekko pociągając nozdrzami:

Arak!... arak!...

Na twarży naczelnika odbiło się zadowolenie.

— Nareszcie odnaleźliśmy to, co jego cierpieniem ulgę przyniesie. Panie kapralu, proszę zapisać na specjalną listę butelkę araku dla Madsa Hansena. Panna Holm przypilnuje, żeby chory otrzymał tyle szklanek ponczykku ile sam tylko zażąda. Jeden z posługaczy niech popołudniu przy chorym zostanie, niech pije z nim i gra w karty.

Po dyspozycji tej, zwrócił się do asystenta i rzekł półgłosem: Już widzę, jaki skandal wyprawi nam zarząd za tę flaszkę araku!... Podobnej dyspozycji z pewnością jeszcze nie było w królewsko-duńskim szpitalu garnizonowym!

Powrócił do łóżka chorego, pogłaskał Madsa łagodnie po twarzy i słowami:

— Adie, kochany przyjacielu — pożegnał nieszczęśliwego. Wychodząc z sali, wcisnął silnie czapkę na dużą, krótko strzyżoną głowę i z wojskową surowością wizytował w dalszym ciągu chorych.

Po południu Mads oka nie zmrużył; pił poncz z araczkim, grał w karty, przekonany, że to święta Bożego Narodzenia.

Nad wieczorem rozpoczęła się walka ze śmiercią. Posługacz czempredzej przywołał pannę Holm. Gdy Mads ją spostrzegł, uniósł się z wysiłkiem z posłania, objął ją za szyję, głowę oparł na jej piersi i płacząc żałośnie, wołał:

— Matko... matko najdroższa!...

Starsza już, nieco przekwitła panna, zaczęła go pieścić czule i przemawiać jak do dziecka...

Umarł szczęśliwy. Zdawało mu się, że z matką spędza Boże Narodzenie!...

Światło w oknie.

— Jestem tak zmęczona... Nie będziesz się gniewał na mnie, prawda?...

On wstał, zaczął przyglądać się uważnie jej pięknej twarzyczce, ona zaś przytuliła się do niego i pulchnymi rączkami szyję jego oplotła.

— No, w takim razie pocałuj mnie!...

Nie czekał dalszej zachęty i złożył gorący pocałunek na jej czole.

— Jakiś ty zimny!... Nie przemówisz słoweczka... Może się obraziłeś?...

— Cóż znowu! •

— Może uważasz moje znużenie za niewłaściwe?..

Uśmiechnął się, ujął jej rączkę, przycisnął do ust, poczem odparł łagodnie:

— Stanowczo nie czuję się obrażony. Dobranoc, moja królowo!...

— Dobranoc!...

Pomimo słów pożegnania, trzymał nieustannie jej pulchną rączkę w swej żyłastej dłoni; ona zaś poważnie spoglądała w jego jasne, pogodne oczy.— W końcu uściśnął lekko rączkę ukochanej, pożegnał się i wyszedł.

Gdy już drzwi za nim zamknięto, przystanął

na chwilę, nadśluchując, czy nie zostanie wezwany do powrotu.

Po bezskutecznem oczekiwaniu, sam także znużony i śpiący, zaczął powoli się oddalać; co chwilę jednak przystawał na schodach i spoglądał w górę, aż wreszcie znalazł się w bramie domu.

Zimne, wilgotne powietrze owiało mu twarz. Wyprostował się, zapiął starannie tużurek, kołnierz postawił i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Spojrzał w górę. — Przez niebieskie firanki przebijało światło; widział nawet dokładnie kłosz lampy, przedstawiający kształt kuli świetlnej. Szukał wzrokiem jej postaci, niestety, napróżno.

Wpatrując się w okno, oczekiwał zgaszenia lampy... światło jednak bez przerwy błyszczało wesoło. — Stał tak jedną i drugą minutę, poczem szybko zaczął się oddalać. Obawiał się, aby go czasem nie zauważyła.

Wieczór był chłodny, wilgotny, w całym tego słowa znaczeniu listopadowy. Wiatrem poruszane szybki w latarniach brzęczały nieustannie, na ulicach utworzyło się błoto, nad domami zaś przeciągały ciemne, poszarpane chmury. Przechoździe skuleni, z podniesionymi kołnierzami biegli szybko do domów, ażeby uchronić się od przeziębienia.

On nie odczuwał zimna; przeciwnie, wiatr wilgotny ochładzał mu twarz rozpaloną.

Z teatru wracała publiczność tłumnie. Widział damy nasuwające kapotki na głowy, okrywające się starannie płaszczami; on przeciwnie, rozpiął tużurek i szedł dalej powoli.

Przeszedłszy pusty plac, wszedł w uliczkę i przystanął przed sklepem z rybami, konserwami, owocami i dziczyzną. Stał długi czas przed oknem wystawowym, jakby się zastanawiał co ku-

pić. — Naraz zwrócił się szybko i podążył — niemal pędząc — w stronę z której przybył.

Muszę przekonać się czy światło zgaszone — mówił nieustannie do siebie. — Muszę sprawdzić, czy je zgasiła!

Ulice już świeciły pustkami, wiatr tylko na nich hulał bezkarnie. Na szczęście miał go poza plecami, więc mu nawet ułatwiał kroki. Zegar na wieży odezwał się raz jeden.

— Wpół do dwunastej. Z pewnością już śpi. W myśli przesunęła mu się jej wdzięczna twarzyczka, słyszał jej głos brzmiały tak pieszczotliwie... Właśnie ta niezwyła uprzejmość, ta serdeczność zdawała się być komedją i to go napelniało obawą.

Czem ona się tak zmęczyła?... Na twarzy nie malowało się znużenie przeciwnie, cały wieczór była niezwykle ożywiona i dopiero w chwili gdy prosiła, aby poszedł, zaczęła tłómaczyć się zmęczeniem.

Jeżeli tam będzie jeszcze światło, to dowód, że kłamała. Gorzej, to będzie dowodem, że „on” tam jest.

Nie... nie... tam ciemno, wszystko pogaszone; ona na prawdę była zmęczona. Teraz spoczywa w buduarze, w tym ładnym różowo-białym negliżu, w którym jest tak piękna... tak urocza!...

Przymrószył oczy, głowę opuścił i oddał się rozkosznemu marzeniu. Po chwili wyprostował się, uczuł zimno i zaczął znowu biec szybko. Przystanął dopiero na rogu ulicy w której ona mieszkała.

Miarowym krokiem szedł po chodniku w stronę domu, w którym mieszkała. Przeszedł spiesznie na drugą stronę i spojrzał w górę. Z przerażeniem przyglądał się oknu oświetlonemu. Tak jest... okno było oświetlone!

Lampa wesolutko paliła się po za niebieskimi firankami.

— Tego się spodziewałem — odezwał się boleśnie.

Stał jak skamieniały, jak statua, wpatrzony nieustannie w szyby okna.

— Jest mi niewierną. Ona jego kocha!... Jego!... To tak naturalne... Przekonałem się i wszystko w porządku.

Zaczął oddalać się, powtarzając machinalnie: Tak... wszystko w porządku...

Nie odczuwał żadnego bólu, zdawało mu się, że jest zupełnie spokojny i zrównoważony.

Naraz nasunęło mu się pytanie: Dla czego mu otwarcie nie powiedziała?... Dla czego kłamała?...

Jakby w odpowiedzi, postawił natychmiast drugie pytanie: A jeżeli nie kłamała?... Bo co on w rzeczywistości wie?... Przed nie całą godziną wyszedł od niej a ona niepołożyła się spać; to jeszcze żaden dowód. Może w tej chwili, gdy chciała lampę zgasić, przypomniała sobie jaką pilną robotę... Może tam siedzi zapracowana i myśli o nim... myśli w chwili, gdy on tutaj chodzi i ją oskarża.

Wrócił się i przystanął w pobliżu domu. — Jeszcze krok i okno zobaczy. Ociągał się trochę, wahał się, wreszcie wznosił wzrok w górę i... ujrzał światło.

Tym razem uczuł pewien ból. Nie wiedział, jak to sobie tłumaczyć... czepiał się nadziei... wreszcie postanowił czekać do wpół do pierwszej. Jeżeli do tej pory spać się nie położy, to pewnym będzie, że nie jest sama.

Naznaczywszy sobie termin oczekiwania, dla skrócenia czasu jął chodzić od rogu do rogu ulicy.

Deszcz zaczął lekko kropić, a on wyszedł z domu bez parasola. To go jednak nie krępo-

wało... myśl wreszcie była czem innym zajęta. Nie chciał też do okna zaglądać, póki oznaczony termin nie minie: nie mógł przecie wymagać, żeby tak od razu w mieszkaniu zrobiło się ciemno.

Miał nawet zamiar zrobić większy spacer, lecz wpadło mu na myśl, że powinien być przeczorny i dla większej pewności zwracać baczniejszą uwagę na bramę domu.

Gdy spotkał jakiego przechodnia, spuszczał głowę i nasuwał kapelusz na czoło, aby nie być poznany. Przeważnie jednak znajdował się sam w pustej ulicy, mając jedyne towarzystwo w poli-jancie i stróżu ulicznym.

Ci dwaj stali w bramie domu i rozmawiali. Rozróżniał ich głosy, słyszał brzęk kluczy, czuł, że o nim mówią, a zawsze, kiedy koło nich przechodził, był cokolwiek zażenowany.

Stróż nocny znał go z pewnością; widywał go często wieczorem, a czasem i rano.

W głębi ulicy odezwał się sygnał i nawoływanie. Stróż, podzwaniając kluczami, udał się w stronę, z kąd głos pochodził.

Policjant ziewnął, przeciągnął się, przeszedł na drugą stronę ulicy i stanął pod murem, świecąc na dłuższą metę płaszczem gumowym, lśniącem od deszczu.

Przechodząc koło stróża bezpieczeństwa publicznego, powitał go słowami:

— Dobry wieczór!

Policjant odpowiedział na ukłon przyłożeniem ręki do kasku, poczem zagadał:

— Nieżnośne mamy dzisiaj powietrze!...

— To prawda, ale świeże!...

Urwał rozmowę i poszedł dalej. Policjant długo za nim wiódł oczami, a kiedy niestrudzony spacerowicz przechodził znowu koło niego, odezwał się poraz drugi:

— Oho... już północ, właśnie biją zegary!...

— Dopiero dwunasta, nie więcej?...— odezwał się, aby tylko coś powiedzieć i w dalszym ciągu odbywał swoją wędrówkę.

Rozrywka z policjantem powtarzała się jeszcze kilka razy, a w tymczasie latarnik, przebiegając śpiesznie ulicę, gasił latarnie, pozostawiając tylko tu i owdzie sennie migocące płomyki.

Policjant przestępował z nogi na nogę, kłął na deszcz, w końcu odezwał się:

— Teraz już za mokro. Trzeba się obejrzed za jakim dachem!... Dobranoc panu!...

— Dobranoc!...

Policjant zniknął w głębi ulicy, podążając w stronę, w której stróż nocny utknął.

Ulica teraz zupełnie opustoszała.

Czas wleki się leniwie... Trudno doprawdy uwierzyć, żeby pół godziny tak długo trwał!

Zaczął zapełniać czas obserwowaniem świateł w oknach.

Co chwilę w różnych punktach światło gasło, tylko tam, w górze, na trzecim piętrze, oświetloną jest dotąd jedna mansarda...

Z pobliskiej restauracji wyszło dwóch pijanych gości, taczających się to w prawo, to w lewo. Za nimi wytoczył się tłusty gospodarz, roześmiał się głośno z balansujących nieustannie ludzi, zaprząsających sobie przyjaźń, machnął ręką i zamknął lokal.

Deszcz padał nieustannie, a co gorsza, upusty niebieskie coraz bardziej się wzmagały.

Spojrzał pod latarnię na zegarek... Pięć minut do wpół do pierwszej!...

Postanowił wytrwać na stanowisku co do sekundy i czekać cierpliwie, aż zegar kościelny wydzwoni czas oznaczony.

Nareszcie dzwon śpizowy odezwał się. Podążył śpiesznie pod dom obserwowany, podniósł głowę w górę...

Okno było oświetlone!...

Z wściekłości tupnął nogą. Kurczowo zaciskał klucz, trzymany w ręku... Brała go ochota cisnąć tym kawałkiem żelaza w szyby i w ten sposób gniew swój wyrzucić.

Powstrzymał się jednak, gdyż zauważył jakiegoś młodego człowieka, obserwującego jego osobę. Odwrócił się szybko i zaczął znowu chodzić w dół ulicy.

Teraz już wie, o co mu chodziło...

Zdawało mu się, że widział ich razem siedzących, że widział jej postać, siedzącą tuż obok mężczyzny. A może nawet zarzuciła mu ręce na szyję?... Może zapewnia, że go kocha?... A może... ..Nie, nie!... Oni siedzą i spokojnie rozmawiają, on zachwyca się jej pięknoscia, a ona się śmieje. On chwytą jej rękę, całuje koniuszeczki jej palców, ona zaś przechyla wdzięcznie główkę i mówi:

— Patrz, jak cudowną mam szyję.

Teraz on ją całuje, a ona się nie broni... Za chwilę padnie przed nią na kolana, potem...

Stanął znowu przed domem, drżąc z wściekłości...

— Dla czego ten młody człowiek jeszcze tam stoi i spogląda na stronę oświetlonego okna?... Czy on czatuje na niego, czy na nią?...

Udawał, że na przybysza nie zwraca uwagi, myśli jednak czepiały się osobistości, która wyrosła nagle na chodniku, jakby jego sobowtór. Pewny był, że go nie zna; pierwszy raz go widzi... Co to za jeden?... Miałby znaleźć się ktoś z dawniejszymi prawami do tej kobiety?... Jeżeli jemu jest niewierną, czyż nie może być innych, prócz architekta, których ona zdradza.

Nie, gdyby tak było, wymieniałaby nieopatrznie nazwisko takiego przyjaciela. Wiedział przecież, z kim ona się przyjaźni, gdzie przebywa, znał wszystkich jej znajomych...

Nie, tam mógł być tylko architekt!... Co do niego, nie miał nawet najmniejszej wątpliwości. Tam mógł się znajdować tylko osobnik, który był w niej dawniej.

W myśli przebiegł całe jej otoczenie, nie pomijając nikogo, nawet osób, któremi się choć cośkolwiek interesowała, podejrzenie padało jedynie na architekta.

On jej towarzyszył do miejsc kuracyjnych, był wszędzie, dokąd ona się udawała, a wreszcie był w jej domu...

Wysmiewała go co prawda, ale też często o nim mówiła. Był w dodatku miłym i przystojnym mężczyzną. Poznał go u niej i zrobił dobre wrażenie. Mówił nawet nieraz do niej, że nie pojmuje, dla czego go tak ośmiesza?...

Teraz... przeciwnie... dziwi się, że nie wyraził względem jego podejrzanego zachowywania się, swej antypatii, wstrętu, nienawiści!... Gdy zaczął sobie przypominać, że ten partacz budowlany do niej zanadto się zbliżał, dreszcze przeszły mu po ciele i czuł się zdolnym go zabić!...

Zdawało mu się, że go ktoś ścisną za gardło, a on w rozpacz zabija przeciwnika, aby swoje życie uratować!...

We wspomnieniach różnych, nawet najdrobniejszych czynów, szukał usprawiedliwienia i potwierdzenia swej nieufności.

Stosunek zachodzący między nimi, badał przecież jak najdokładniej, z mikroskopijną ścisłością; w przyjaźni tej nie udało mu się odkryć nic zdróżnego, nic nieprzyzwoitego, dla czego dzisiaj ujawnia się ta pewność, że w tejsze chwili jest on, a nie kto inny w jej mieszkaniu?...

Ahl!... w stosunku do kobiet, każde przypuszczenie nie ulega wątpliwości!...

Wszystko to mogło być wyrachowaniem, perfidją!... Ta szczerość, jej żarty z natrętnych wiel-

bicieli, wszystko to sztuka tylko, udanie... aby nie ściągnąć na siebie jakich podejrzeń.

A przecież, wszystko to, na nie się nie zdało!... Przy pierwszej sposobności dyplomacja ta poniosła porażkę i przypuszczenia jego we właściwą zwróciły się stronę.

Dla czego ona tak postępowała?... Dla czego nie powiedziała otwarcie, jak sprawa stoi i nie zostawiła mu swobody?...

Przyszło mu na myśl, że o coś podobnego głupio byłoby się pytać!... Nie wszyscy—zarówno mężczyźni, jak kobiety—posiadają tak ciasne serce, które nie mieści w komórkach swych więcej, jak jedną tylko miłość!

On przecież, kocha ją tylko jedną i pragnął być przez nią kochany niepodzielnie!...

Gdyby mógł jej ślepo wierzyć!... Gdyby choć teraz mógł poznać rzeczywistość?...

Niestety, wierności nie da się dowieść, gdy niewierność ma tę zaletę, że ją zawsze sprawdzić można.

Tak, trzeba tylko wyjaśnić sprawę!... Przecież dla tego tu chodzi!...

Co prawda, to on zawsze powątpiewał w jej miłość; wątpliwości tej nie mógł wykorzenić z serca!...

Dziś pragnie jedynie pochwyć ją na wiarołomstwie... naturalnie dla zdobycia pewności i... spokoju.

— Czyż dotąd nie jest jeszcze pewny swego?

— Tam jeszcze stoi ten młody człowiek, jak wrosły w bruk uliczny, z rozpostartym parasolem i wpatruje się w okno...

Jakżeby pragnął dowiedzieć się, czego chce ten człowiek?

Oстрыm krokiem przeszedł koło niego, wpatrując się w jego twarz...

Nieznajomy uśmiechnął się i pozostał na miejscu.

Gdy po chwili odwrócił się, spostrzegł, że przybysz podąża za nim, nucąc jakąś wesołą piosnkę.

Na rogu ulicy wyjął z kieszeni cygaro, zapalił je, roześmiał się głośno i... poszedł dalej.

Lżej mu się zrobiło na sercu, gdy przechodnia stracił z oczu.

Zegar wybił pierwszą godzinę po północy.

Czy ta wędrowniczka uliczna doprowadzi do jakiego celu, gdyby nawet teraz światło rzeczywiście zgasło?...

Dziwna mu myśl błysnęła...

On powinien być kontent, że światło się pali!...

Im dłużej lampa rzuca promienie, tem większa pewność, że oni tam siedzą razem.... Dopóki się światło pali, bitwa nie przegrana.

Postanowił pozostać i śledzić w dalszym ciągu. Jeżeli architekt wyjdzie, zanim światło gaśnie, to oznaczać będzie... oznaczać będzie... właściwie nie wie, co to będzie oznaczało, w każdym razie coś oznaczać będzie.

Zaczął na nowo chodzić w jedną i drugą stronę, a światło nie gasło, lampa wciąż paliła się wesoło... oko jego nieustannie śledziło każde poruszenie płomyka, rzucającego równe promienie poza obręb okna.

Wpatrując się uważnie, zdawało mu się, że widzi jej oień, a nawet i jakiś drugi... tuż po za firanką... Gdy przyjrzał się uważniej, przekonał się, że to tylko wizja... Za firanką nic nie było.

Przeszedł się znowu i nie wiadomo już który raz, spojrzął w okno. Żadnego życia, żadnego ruchu nie mógł pochwycić po za wiotką, niebieską zasłoną.

Wspiął się na palce, wyteżył słuch, licząc na

to, że w ciszy nocnej pochwyci jej głos; niestety, z mieszkania żaden szmer nie dochodził.

A deszcz padał i padał, potęgując ciemność nocy...

Tu i owdzie palące się latarnie spowite były w żółty, matowy kolor mgły, w środku której mięły tajemniczo czerwone punkty płomienia.

Przemoczony do nitki nie odczuwał już zimnych kropel padającego nieustannie deszczu. Cygaro, które usiłował zapalić, było tak mokre, że nadawało się jedynie do wyrzucenia; rękawiczki przykleiły się do rąk, a gdy je zdjął, zamieniły się w jakąś bezkształtną masę.

Pomimo, że nogi odmawiały mu posłuszeństwa, i że czuł się jak rozbity, nie zaprzestał wędrowki ulicznej. Mózg nawet przestał filozofować i myśli zaczęły się snuć w nieładzie.

On jednak nie schodził z placówki i od okna oświetlonego nie mógł oczu oderwać.

Jedyną jego rozrywką były kwadransy, które wybijał zegar wieżowy, pozostały czas zabijał jak mógł. Liczył kroki, a gdy się pomylił, liczył je na nowo; sprawdzał wiele kroków zrobi w pół godziny, lecz po kwadransie przekonał się, że tylko sto ich naliczył, o innych zaś setkach zapominał.

W czasie tych spostrzeżeń i doświadczeń nagle przystanął. Zdawało mu się, że drzwi obserwowanego domu skrzypnęły, a gdy spojrzął w tę stronę, dostrzegł jakiś cień na przeciwległym rogu ulicy.

Przeleciał pędem dzielącą go przestrzeń, spojrzął w prawo i lewo, nie mógł jednak dopatrzeć żywej duszy.

Ostatnie latarnie zgaszono, powietrze wskutek przeblysku świtu rozpostarło się nad domami jak olbrzymi biały parasol, w szarej zaś mgle przesuwać się zaczęły jak duchy, jakieś postacie, wyobrażające kobiety w chustkach na głowie, lub męż-

czynn z krótkimi fajeczkami w ustach i węzełkami w rękę.

Policjant i stróż wyszli ze swej nocnej kryjówki, rozglądając się na wszystkie strony, przeciągali swe członki i poziewali głośno.

Okno wydawało teraz jasność bledszą, więcej matową...

Nagle zauważył, że smuga świetlna w tył się cofnęła i... znikła.

Policjant ze stróżem stali przed domem i coś gawędzili. Gdy koło nich przesuwiała się gromadka robotników, zdawało mu się, że jakaś postać dostatnio ubrana, wysunęła się z pośród nich i... znikła.

Wstydząc się biedz, przyspieszył kroku. Policjant z uśmiechem powitał go słowami: Dzień dobry!...

Mruknął mu coś w odpowiedzi i wytężył wzrok w koniec ulicy... Nic jednak nie zauważył. Wobec tego wrócił raz jeszcze przed dom ukochanej, i poraz tysięczny spojrzął w górę.—Światła już nie było.

— Kto był ten odchodzący?.. czy architekt?.. Może kto inny?... A może to tylko fantazja?...

Więc bez żadnego rezultatu, nie sprawdzivszy nic, zmarnował długą, chłodną, nieprzyjemną noc!... I żadnej pewności!... żadnego wyjaśnienia!...

— Czy jeszcze czekać?... Nie... stara stróżka wstaje z pierwszym pianiem kogutów, a wreszcie, gdyby nawet architekt był u niej, z pewnością już zdążył się wymknąć.

Po nocnej włóczędze wracał do domu mokry, zziębnięty, gardło mu zaschło i zachrypło, oczy piekły, twarz pobladła.

Robotnicy dążący do pracy z podziwem spoglądali się na sponiewieranego elegancika. On jednak nie zwracał na to uwagi, szedł spokojnie z wzrokiem spuszczone w ziemię.

Tylko jedna myśl nieustannie go trapiła.

— Policjant śmiał się ze mnie!..

Próba ogniowa.

W pewnym towarzystwie rozmawiano o młodym malarzu i jego niewiernej małżonce.

Oburzenie zwracało się głównie przeciw niej, gdyż oszukiwała zacnego męża w sposób, przechodzący wszelkie granice przyzwoitości. Szczególniej damy powstawały na lekkomyślną połowicę.

Jedna z nich, piękna aktorka B., ciesząca się pewną sławą, iż w czasie trzyletniego pożycia małżeńskiego, obdarzyła społeczeństwo czworgiem tęgich i zdrowych krzykaczy, zwróciła się do mecenasa sztuk pięknych, Franciszka Heina—przyjaciela rogacza—z przekonaniem, że on nawet obowiązany jest otworzyć oczy małżonkowi na postępowanie żony.

Zainterpelowany, z uśmiechem skłonił się i odpowiedział:

— Dzięki serdeczne za to pochlebne o mnie mniemanie, ale przysługi przyjacielskiej, jaką zaleca mi pani, wypełnić nie mogę. Więcej powiem, misji takiej stanowczo nigdy się nie podejmę. Zaraz pani wytłómaczę, dla czego... Mój przyjaciel kocha swoją niewierną małżonkę.

— Właśnie dla tego należy go ostrzedz!—zaakcentowała silnie pani B.—Właśnie dla tego nale-

ży mu oczy otworzyć. Byłoby oburzającym, żeby dla takiej osoby marnował on najszczerze uczucia serca. Panu, jako jego przyjacielowi, nie powinno to być obojętnem.

— Oh... pani łaskawa... podobne sceny zwykle obojętnie obserwuję!...—Przy słowach tych roześmiał się serdecznie.—Przysporzyłbym mu tylko zgryzot, gdybym mu prawdę powiedział; po zatem pozbawiłbym się jego przyjaźni, gdyż, jak to już zaznaczyłem, on kocha swoją żonę. To znaczy, że każdy, kto o niej źle mówić będzie, stanie się w jego oczach zwykłym oszczercą. Niewiasty, łaskawa pani, są nadzwyczaj przebiegłe, one kłamią lepiej od mężczyzn. Walka między mężczyzną i kobietą jest stanowczo nierówną. Tego raz jeden doświadczyłem. Historia ta jest zarówno moralną, jak pikantną. Pragnie ją pani poznać?... A więc proszę sięść tam, w tym ciemnym kąciuku; tam, w ciszy i spokoju może się pani rumienić dowoli w czasie opowiadania mego dramatu.

Zaczynam:

Razu jednego przepędzałem lato na wsi, wspólnie z moim przyjacielem i jego kochanką, panią Y. Mąż jej odwiedzał nas tylko w niedziele i święta, gdyż rozliczne interesa zatrzymywały go w mieście. Człowiek to tępy umysłowo, obojętny na wszystko, jeden z tych okazów, którzy zasługują na to, aby byli oszukiwani.

Mieszkaliśmy w pensjonacie, zamienionym ze starej, wielkopańskiej rezydencji, z olbrzymim parkiem i ogrodem.

Pensjonat ten był bardzo ożywiony; gości sporo, a powietrze—jak się wyrażają modernisci—przepełnione było erotyzmem.

Przyjaciel mój i jego dama, nadawali odpowiedni ton całemu towarzystwu. Nie krępowali się niczem do tego stopnia, że kto nawet nie chciał,

wiedział, dla czego spędzają lato o kilkanaście mil od stolicy i... małżonka.

Pokój pani Y. był na pierwszym piętrze; przyjaciół mój zajmował zaś pokój w przebudowanej stajni na dom mieszkalny.

Wiedzieli wszyscy, że w pół godziny po oddaleniu się pani Y. do swego mieszkania, skrzypiały zwykle schody, wiodące na pierwsze piętro i cieszył się cały pensjonat, że mężateczka nie czuje się osamotnioną i nie potrzebuje lękać się wizyty opryszków.

Była to rozkoszna idylla, przerywana jedynie w niedziele, w czasie kilkogodzinnej wizyty pana Y.

Przyjaciel mój był rzeczywiście bardzo zachowany w tej bladej, szczupłej, lecz wulkanicznego temperamentu osobie. Należała ona do tych niewiast, które nie stawiają zbyt wielkich przeszkód. Cicha, łagodna, odznaczała się w postępowaniu dobrą wystudowaną galanterją.

Gdy przyjaciół przypadkiem nie było pod ręką, natychmiast umizgi swe zwracała w inną stronę.

To było jej naturalną potrzebą, koniecznością, podtrzymującą jej zdrowie; nieustannie musiała być pod wpływem męskiego uwielbienia.

Ja, nawiasem mówiąc, doświadczony w obcowaniu z niewiastami, poznałem najdokładniej wszystkie jej erotyczne wady, które — wybaczenie mi, nadobne słuchaczki — nie tylko jej były właściwe.

Wiedziony pewną sportową ciekawością, że ona nawet mnie, gdyśmy się przypadkiem spotkali na schodach lub w sieni, w pokoju albo ogrodzie — obdarzała specjalnym, dużo obiecującym spojrzeniem. Aby się nie okazać źle wychowanym, z odpowiednią wprawą odpowiadałem jej rzutem oka, również bardzo dużo mówiącym.

Raz jeden nawet objąłem jej kibić i szepnąłem do uszka kilka miłych wyrazów.

— Zapewniam, że dusza moja nie była obciążona ani cieniem zdrady mego przyjaciół, zaś co do pana Y., nie miałem zupełnie zamiaru robić go rogaczem podwójnej potęgi.

Zdanie to rozmyślnie silniej akcentuję, zanim przejdę do treści opowiadania.

— W naszym pensjonacie odbyła się pewnego wieczoru zabawa po której późno w wszyscy udali się na spoczynek. Ja tylko i mój przyjaciel, pozostaliśmy na werendzie i w dalszym ciągu piliśmy wino. Szczególniej mój przyjaciel z wprawą wychylał kieliszki.

— Wieczór był prześliczny, niebo skrzyło gwiazdami, księżyc rzucał blade światło hen... poza ogród i drzewa parkowe, śpiew słowików, woń kwiatów i balsamiczne powietrze wywierały potężne wrażenie.

Przyjaciel mój, nieco podchmielony, usposobiony poetycznie odezwał się:

— Czy to nie przypomina Florencji, Wenecji, albo innego starego włoskiego krajobrazu?... Zdaje się, że żyjemy w czasach średniowiecznych!...

Ty i ja jesteśmy patrycjuszami... w pałacu tym mieszka szlachetna Rozalinda, do której pądam miłością. Na dziś wieczór naznaczyła mi schadzkię... Ty towarzysz mi do miejsca umówionego, a ponieważ pozostaje nam pół godziny czasu oczekiwać na znak umówiony, przepędzamy go przy puharze w ogrodzie zajazdu grubego Maceo.

Dla wywołania większego efektu, zawołałem:

— Za zdrowie twojej Rozalindy!... Wiwat, ty stary romansowy biboszu!...

— Żart na stronę! — odpowiedział, w całym kraju niema tak wiernej kochanki jak ona. Pomiędzy rozlicznych kaprysów zawsze jest dobrze uspo-

sobiona, a w sztuce Amora bieglejsza od wszystkich, jakie kiedykolwiek znałem. Przywiązana jest do mnie... szalenie!...

Mimo woli chrząknąłem: Hm, hm!...

— Wiem o czem ty myślisz — mówił w dalszym ciągu przyjaciel—przypomniałeś sobie jej męża... Wiesz dobrze, że go nie kocha; wobec tego chyba nie wątpisz, że oddała mi serce...

— Tego jestem zupełnie pewny; zbyt jaskrawo to okazuje.

— A może sądzisz, że jest mi niewierna?...

— Nie mam powodu tak sądzić.

Przyjaciel wychylił potężną szklanicę wina, policzki nabiegły mu krwią, a głos drżał mu lekko gdy wymawiał słowa:

— Ja cię pojmuję; masz na myśli jej kokieteryję... Sama mówiła mi, że cię kokietowała; wyznała nawet, że gdyby mnie nie posiadała, byłaby zdolną zakochać się tylko w tobie. Jeżeli chcesz jednak prawdy się dowiedzieć, to ja sam zachęcałem ją do flirtowania z tobą. Tak... ja ją zapewniałem, że ty jesteś jedynym człowiekiem, któremu nie zazdrościłbym pozyskania jej względów. Śmiejesz się z tego?... Wierzaj, że słowa moje to święta prawda!... Nie dalej, jak wczoraj wieczorem pytałem jej, czy pozwoli cię sprowadzić?... Zarumieniła się biedaczka i rozplakała.

— A gdyby się zgodziła, ty byłbyś płakał!...

— Słowo honoru, że nie!... Po pierwsze, jesteś moim najlepszym przyjacielem i z tobą chętnie wszystkim się podzielę co mam najdroższego; po drugie—może to niemoralne co powiem—zapewniam cię, że w oczach moich nie utraci ona powabu, jeżeli ty, wyborny znawca kobiet, znalazłbyś w niej upodobanie.

— Mój drogi, nie zapominaj, że na samą nawet propozycję, ona płakała i oburzała się...

— Z tonu, jakim się o niej wyrażasz, wnoszę, że ty wątpisz o jej prawości!...

— Ja sądzę jedynie, że każda kobieta rozsądna, podobną propozycję kochanka odrzuciłaby ze wstrętem.

Przyjaciel mój siedział przez chwilę milczący, z wzrokiem utkwionym w jakiś przedmiot. Nagle rzucił mi pytanie:

— Nie odmówisz mi pewnej grzeczności?

— Proszę, dysponuj!

— Czy zechcesz teraz odwiedzić panią Y.

— Za późna pora na składanie wizyty.

— Czy zechcesz przez dzisiejszy wieczór grać rolę jej kochanka?

— Nie!

— Dla czego?

— Bo więcej cenię twoją przyjaźń, aniżeli jej miłość.

Roześmiał się szczerze, poczem ściskając mi dłoń odezwał się z naciskiem:

— Ja cię proszę o tę grzeczność, a jakkolwiek będzie wynik wyprawy, zapewniam cię, że nic naszej przyjaźni nie zachwieje.

Proszę cię, błagam o tę przyjacielską przysługę! Wymagam tylko jednego, że mi szczerą prawdę powiesz, nie zataisz tego, jeżeli rzeczywiście jej względy posiędziesz.

Jak już poprzednio zaznaczyłem, piliśmy rzetelnie; szczególnie on, ale i ja nie byłem zupełnie trzeźwy.

Niezależnie od trunku rozmarzył nas księżyc, a przytem ona tego wieczoru wyglądała tak bosko, na dobranoc obdarzyła takim spojrzeniem... które do wszystkiego upoważniało.

W powietrzu, — jak się wyraził mój przyjaciel—odczuwałem czasy renesansu; zdawało się, że mam przed sobą legendowy pogański wieczór, nęcący ułudnie do miłosnej awanturki. Dla pokrycia

tego kuszącego pragnienia, począłem przyjacielowi perswadować na co chce mnie narazić, upominałem go... lecz moje filisterskie zapatrywania wywołały wręcz przeciwny skutek i popychały go do tem większej natarczywości.

Uległem jego prośbom.

Kieliszkiem wina zapieczętowaliśmy umowę. Zobowiązałem się zdać mu najdokładniejszą relację z tego, co między mną a jego kochanką zajdzie; on zaś jeszcze raz mnie zapewnił, że całą tę sprawę zachowa przed nią w najgłębszej tajemnicy i nie powtórzy jej ani słowa z mego opowiadania.

— A więc chodź—odezwał się wesoło—wskażę ci drogę.

Zarzucił płaszcz, wziął kandelabr ze stołu i przeprowadził mnie przez oranżeryę do sieni.

Prawdopodobnie z nadużycia trunku pobałdł nieco, oczy błyszczały mu dziwnie, śmiał się jednak tak serdecznie, że aż świecznik pobrzękując, trząsał się w jego ręku.

— Do djabła—szepnąłem—zachowuj się spokojnie, bo inaczej wszystko zepsujesz.

— Jakże się nieśmiać z tak wybornego żartu?

Światło tajemniczo migotało, a na ścianie, jak jaki olbrzymi nietoperz, ukazał się cień jego, przybierający to większe, to mniejsze kształty.

— Mój drogi—mówił bez przerwy—tylko nie marudź i śmiało przystępuj do rzeczy. Gdy wejdiesz na schody, znajdziesz się w długim kurytarzu; przejdziesz go, a w końcu natrafisz na drzwi wiodące do jej pokoju. Drzwi są otwarte, gdyż ona mnie oczekuje. Zatem marsz!... Życzę szczęścia!...

Uczułem dziwny jakiś niesmak... Teraz zrozumiałem dopiero, że to co miałem wykonać, było złośliwe i głupie!.. Miałem nawet zamiar wyjawić to przyjacielowi, lecz twarz jego wyrażała tyle zarozumiałości i ironii, że postanowiłem go ukarać.

— Dobrze — pomyślałem — jeżeli sam tego chcesz, popróbujemy!... Zobaczymy, kto zwycięży!..

— Do widzenia!—szepnąłem—i ruszyłem na przód zdobywać laury!..

Schody trzeszczały po każdym stąpięciu, a gdy znalazłem się na piętrze, jeszcze dochodził mnie śmiech przyjaciela.

Po chwili znalazłem się pode drzwiami pani Y. i otworzyłem je.

.

Pół godziny oczekiwał na mnie przyjaciel. Zastałem go na werendzie jeszcze więcej bladego i pijanego niż poprzednio.

— Już z powrotem?... odezwał się wesoło i podniósł kieliszek.

No, jak cię przyjęła?..

— Przypominasz sobie naszą umowę?

— Naturalnie!..

— Wymagasz jej dotrzymania?

— Bezwarunkowo. A więc jak ci poszło?

— Tak jak przewidywałem. Ona jest tak pocziwą; nie chciała dopuścić do żadnego skandalu.

— Nie stawiała ci trudności?... Nie opierała się?

— Najpierw pytała się gdzie jesteś. Zdawało jej się, że słyszała twój śmiech na schodach; przysięgłem że się myliła. Zapewniłem ją, żeś podpił zawiele i zmuszony byłem do łóżka cię położyć. Potem... pogodziła się z losem. Wreszcie...

— Wreszcie?!..

— Ty sam, tak gorąco mnie prosiłeś...

Padł na krzesło bezwładnie i począł coś majaczyć...

Po chwili odezwał się:

— Z opowiadania twego wnoszę, że drwisz ze mnie.

— Chciałeś prawdy i zapewniłeś mnie, że nie przyjmiesz tragicznie, jakikolwiek będzie wynik tej wyprawy.

— Ja też nie przyjmuję tego tragicznie; przeciwnie, cieszy mnie to!...

— A ty?... jesteś chociaż zadowolony?... Czy zasługuje na te pochwały, jakie jej oddaję?

— Możesz z niej być dumny.

— W takim razie wychylmy kieliszek za zdrowie Rozalindy!...

— Niech żyje!...

Piliśmy jeszcze czas jakiś na jej pomyślność, przyczem musiałem najdokładniej opowiedzieć cały przebieg tej awanturniejszej ekspedycji. Już dobrze świtało, gdyśmy powstałi od stołu i udali się na spoczynek. Pomimo podniecenia się trunkiem, nie byliśmy zbyt wesoło usposobieni, a przy rozstawaniu się, trudno nam było wydobyć z gardła życzenie „dobrej nocy”.

Z pewnym niepokojem udałem się dnia następnego na śniadanie.

W sali stołowej miejsce mego przyjaciela — znajdujące się tuż obok mego — było puste. Również niezajęte było krzesło pani Y.

Czyżby złamał słowo i mnie zdradził?... A może wbrew naszym układom, na zasadzie moich zeznań pociągnął ją do tłumaczenia? Z pewnością tak zrobił!...

Wściekałem się na moją głupotę!... Żalowałem teraz że prawdę wyznałem!... Należało mi przewidzieć, że słowa moje wpiją się jak sztylet w jego serce i pozbawią go spokoju!...

Pod koniec śniadania weszła pani Y. cichutko do sali. Ubrana była w białą suknię, kolor symbolizujący niewinność. Skarżyła się na lekki ból

głowy, przyjmując przytem postawę zimną i niedostępną.

Zasyłając „dzień dobry” skłoniłem się nisko. Odkłoniła się z miną obrażonej księżny... miną imponującą powagą i... wzgardą — na jaką tylko wytrawni aktorzy zdobyć się potrafią. Wierna kopia pani B. w słynnej roli z „Fałszywych brylantów”.

W chwilę po niej, zjawił się mój przyjaciel. Traktował mnie wyniośle i drwiąco. Z nią, przeciwnie, zachowywał się z wyszukaną galanterją; okazywał jej niezwykłą troskliwość.

Ponieważ śniadanie już spożyłem, a sytuacja dramatyczna — silnie naprężona — zbyt widocznie do mnie stosowaną była, więc, jak gentleman, skłoniłem się grzecznie i opuściłem jadalnię.

Nie upłynęło kwadransa, gdy do mego pokoju wszedł przyjaciel.

Zastał mnie palącego cygaro i bawiącego się pielęgnowaniem paznogi.

— Siadaj — odezwałem się — i zapal cygaro.

— Czegoś podobnego nie spodziewałem się — brzmiała odpowiedź.

Stał przedemną, przybierając ton uroczysty.

— A może wolisz fajeczkę?...

— Zachowałeś się marnie!...

Twarz jego była czerwona. Głos mu drżał.

— No, no... widzę, żeś podrażniony?... Nie galopuj się tylko zbyt. Zdaje się, że to ty właśnie niezbyt lojalnie się zachowałeś!...

— Sądzisz, że jej cośkolwiek powtórzyłem?

— Tak, niestety, cała sprawa wygląda!

— Mylisz się. Gdybym ją pociągnął do tłumaczenia a ona prawdziwość twoich zeznań zaprzeczyła, nie uwierzyłbym jej. Rzecz ta zupełnie inny obrót przybrała. Gdy ją dziś rano spotkałem, była silnie podrażniona; płakała i narzekała na pensjonat. Gdy zapytałem co jej dokucza, nie chciała mówić. Po długich naleganiach dopiero, wyznała,

co ją w nocy spotkało. Mówiła, że ty do niej gwałtem się wdarłeś; że siłą pragnąłeś posiadać jej wzajemność, że przeszło kwadrans walczyła, aby się uwolnić od twojej osoby!

Zamilkł, oczekując mego uniewinnienia się.

Nie ruszając się z miejsca, przyglądałem mu się z uśmiechem i w ciszy podziwiałem nadzwyczajną przebiegłość pani Y.

Jak świetnie obmyśliła odparcie zarzutów, nie czekając na zapytanie o winę!... Odparcie było tak sprytne i z taką prawdą wypowiedziane, że wszystkie inne jej kłamstwa manewr ten pokrywał.

To było bajeczne!... nadzwyczajne!...

— Odpowiedz, co na te zarzuty, człowieku!... Wytłomacz się!...

Do diabła... z czego się śmiejesz?...

— Ja się śmieję?... Wybacz, bezwiednie to uczyniłem. Znajduję, że ty masz rację. Ja, rzeczywiście, marnie się zachowałem!... Chciałem ci ją odbić!... Niestety, zostałem zdemaskowany.

Twoja ukochana jest czysta jak śnieg, a nieugięta jak opoka. Życzysz sobie abym ją przeprosił?... Jestem gotów!... Zapewniam, że oszuję nawet potrzebę dać jej zadosyćuczynienie.

Przyglądał mi się chwilę z powątpiewaniem, poczem odpowiedział:

— W słowach twoich odczuwam myśl utajoną... ty chcesz mnie otumanic. Z początku także uważałem za niemożliwe, żebyś ty był zdolny uciekać się do pospolitego kłamstwa... Musisz jednak przyznać, że to wszystko przeciw tobie przemawia. Dla czego ona dzisiaj rano tak rozpacziała?... Gdyby tak było jak utrzymywałeś, byłaby przecież całą sprawę w tajemnicy trzymała. Nie uwierzysz jak ciężko przychodzi mi wyrazić żal do twojej osoby. Czy mogę jednak ukryć ten ból?...

— Mój przyjacielu, zakończmy te udręczenia. Tu nie ma wątpliwości, że ty obowiązyany jesteś

więcej jej wierzyć, aniżeli mnie, zwłaszcza, że ja przyznaję się otwarcie do kłamstwa. Jeżeli ty starasz się mnie jeszcze usprawiedliwiać, widzę przecież wyraźnie, że to wynika z radości odkrycia prawdy. Twoja ukochana przeszła zaszczytnie przez próbę ogniową, na którą ją sam wystawiłeś. Ja... lgałem i własnym kłamstwem pobity zostałem.

— Przyjaciel mój poszedł; nie zupełnie jednak pewny szczerości mych słów. — Dopiero po wznowionej z panią Y. rozmowie, upewnił się zupełnie o jej niewinności. — Od tej pory miłość zakochanych spotęgowała się. — Gruchali odtąd jak dwa gołąbki!...

Ja, okazałem się już zbyt cenny, żenowałem ich.

Aby nie zwracać uwagi gości pensjonatu, pozornie zachowywaliśmy stosunek przyjazny. Ona tylko unikała mnie starannie; przy obiadach zaś zachowywaliśmy najkonieczniejsze formy towarzyskie.

Życie w tych warunkach na wsi, było nieznośne; postanowiłem więc usnąć się. — Trzeciego dnia, po zająściu powyższem, powiedziałem im: „Bywajcie zdrowi”!

Nie uwierzycie państwo, z jakim zadowoleniem ten frazes przyjęli!...

Opuszczając willę, spojrzałem raz jeszcze w górę. — Stała w oknie, ukryta dyskretnie za firanką. Gdy wzrok nasz spotkał się, roześmiała się i na pożegnanie posłała mi ręką całusa.

Historja moja, tak, jakby ukończona, gdyż do niej to tylko dodać mogę, że w kilka lat po naszym rozstaniu, mój przyjaciel odszukał mnie i... przeprosił.

Jego ukochana zerwała z nim przyjaźń i z całą otwartością — żeby nie miał żadnej wątpliwo-

ści — przyznała się, że traktowała go zawsze jak błazna!

Przy rozstaniu przyznała się nawet do tego, że moja wizyta nocna była dla niej prawdziwą przyjemnością.

Wywdzięczając się za tę przykrość i żeby jej postępowanie należycie napiętnować, przyjaciel mój z naciskiem zaznaczył, że jemu tę przyjemną wizytę ma do zawdzięczenia.

Jak powiedziałem, to już do historii mej nie należy, w której zarówno lekkomyślność i moralność chyba dostatecznie zrozumiała.

Teraz też zapewne łaskawa pani pojmuje, dla czego uważam odsłanianie przyjacielowi niewierności ukochanej za nonsens...

Czy mam rację?...

Zimowe palto.

Między papierami zmarłego przed kilku laty burmistrza Holst, znaleziono zapieczętowaną kopertę z następującym napisem: „Niniejsze pismo po moim zgonie ma być opublikowane w urzędowej gazecie królestwa Danii.”

Pismo to jednak, o ile mi wiadomo, dotąd opublikowane nie zostało.

Treść tegoż jest następująca:

„Życzę sobie—dla nauki naszych sądów, prawodawców i moralistów — aby zwrócili uwagę na kradzież, jakiej dopuściłem się w czterdziestym roku życia, a na rok przed powołaniem mnie przez Jego Królewską Mość na stanowisko burmistrza, w cichem, poczciwym miasteczku w którym przy wielkim udziale ludności mój dwudziestopięcioletni jubileusz urzędowania obchodziłem.”

Było to na zebraniu męzkim u landrata, dawno już zmarłego szambelana Lilje. Po obiedzie zasiedli do wista: szambelan, baron Ornehjelm, lekarz powiatowy dr. Colbein i ja.

Nastrój panował wesoły, gdyż przy stole wypiliśmy sporo, a po obiedzie... jeszcze więcej. Przy

grze w karty protegowaliśmy szczególnie koniak i delikatny stary Charente.

Szczególniej silnie zamglony był baron. Podczas gry zachowywał się zbyt swobodnie, co nie licowało nawet z jego stanowiskiem społecznym, i wypowiadał zbyt szczerze swoją nadzwyczajną działalność w handlu koniami. Jeszcze dziś—mówił on—wkręciłem nieznanemu się na koniach pastrowi wiejskiemu parę starych szkap, za które najmniej sto talarów więcej zapłacił, aniżeli te chatety były warte.

Wyjął następnie wypchany pugilares z kieszeni i z tryumfem pokazywał nam pieniądze, zdobyte nieuczciwie od służi Bożego, przyczem śmiał się z jego naiwności.

Zapaliwszy cygaro, sapiąc, grał dalej w karty zachowując się gorzej od stróża.

Ja byłem nieco zdenerwowany. Piłem, mówiąc między nami dużo i nawet przy kartach nie pozwalałem koniakowi wypoczywać; mózg mój jednak funkcjonował prawidłowo i dokładnie zdawałem sobie sprawę z tego co mówiłem i czyniłem.

Na mnie nadeszła kolej wyjścia, gdyż graliśmy z „dziadkiem”; odsunąłem więc nieco krzesło od stolika i... w tejże chwili nauważyłem na podłodze pod stołem pięćdziesięciotalarówkę. Byłem najpewniejszy i nieulegało żadnej wątpliwości, że ją baron zgubił, gdy wydobywał pugilares. Już byłem gotów do schylenia się, podniesienia banknotu i zwrócenia go właścicielowi... Nagle jednak ogarnęła mnie nieprzeparta chęć przywłaszczenia go sobie. Nie posiadałem nic więcej prócz mojej pensji. Była ona wystarczającą aby pędzić bez kłopotu życie kawalerskie, a przecież tak szczupłą, że dobrze liczyć musiałem, aby zadość uczynić wszelkim obowiązkom reprezentacyjnym, wymaganym od urzędnika.

W dodatku ciążyło na mnie uiszczenie pewnych długów z czasów studenckich; krótko mówiąc, pięćdziesiąt talarów stanowiły dla mnie poważną sumę.

Przebiegło mi przez myśl, że z pomocą tej sumy będę mógł sprawić sobie konieczne dla mnie palto zimowe.

Nie była to myśl odosobniona, gdyż jednocześnie nasunęła mi się uwaga, aby uniknąć podejrzenia kradzieży.

Błyskawicznie ułożyłem plan, który z zimną krwią wykonałem.

Pozornie zwracając uwagę na grę, wyjąłem świeże cygaro z kieszeni i obeinając koniuszkiem upuściłem scyzoryk. Padł szczęśliwie, tuż przy pięćdziesięciotalarówce. Pozostali panowie byli tak zajęci grą i pićm koniaku, że nie zwracali na to żadnej uwagi.

Udając gniew, zakląłem, schylając się z pełną trudnością, podniosłem upuszczony przedmiot i jednocześnie schowałem banknot do kamazska; przytem naturalnie bacznie zwracałem uwagę aby go dostatecznie głęboko wcisnąć, i następnie nogawkę do należytego porządku doprowadzić.

Po operacji tej—która zaledwie kilka sekund trwała — wyciągnąłem się wygodnie w krzesło, zapaliłem cygaro i puszczałając z zadowoleniem kółka dymu, przysłuchiwałem się spokojnie krytyce gry, w czasie której baron nie przebierał w słowach.

Nadszedł pełen naprężenia moment przy obrachunku. Baron przegrał około dwunastu talarów. Wyjął pugilares, banknoty wyrzucił na stół i... począł w nich przebierać.

„A to miljoner!” zagadnąłem z uśmiechem, temu należało trochę krwi upuścić!... W tejże chwili ująłem kieliszek i przepiłem do doktora, prosząc go jednocześnie aby złożył moje uszanowanie małżonce. Jeszcze nie zdążyłem kieliszka

269

wychylić, gdy usłyszałem głos barona: „Co u licha! brak mi pięćdziesięciu talarów!.. Wychyliłem spokojnie kieliszek, poczem zagadnąłem z uśmiechem: Widzisz baronie, za gorszego się przedstawiasz aniżeli jesteś. Widocznie okpiłeś księdza o pięćdziesiąt talarów mniej, albo też koniak landrata wywiera na ciebie inny skutek, aniżeli na innych.

Nam naprzykład wszystko się dwoi i zdaje nam się jak gdybyś pan był podwójnie pijany jak jest w rzeczywistości, gdy panu w oczach wszystko się przepoławia!..

Dowcip mój przyjęli wszyscy śmiechem, nawet baron. Po chwili jednak, gdy poraz drugi przeliczył zawartość pugilaresu, powtórzył: „Nie, jak pragnę zbawienia, brak mi pięćdziesięciu talarów.”

— Panie szambelanie, uczyn mi tę łaskę i przelicz raz jeszcze. Wychodząc z hotelu miałem ośm pięćdziesięciotalarów, obecnie jest ich tylko siedm.

Ku ogólnej wesołości graczy, wziął landrat paczkę banknotów od barona i począł je liczyć na nowo.

Lekarz powiatowy a serdeczny mój przyjaciel, przyglądał się z tajemniczym zaciekawieniem scenie liczenia pieniędzy. Po chwili landrat oświadczył: Nie, tu jest tylko siedm biletów pięćdziesięciotalarowych; poczem zapytał poważnie: Czy pan tylko zupełnie jesteś pewny, że ośm ich być powinno?

„Tak, pijany nie jestem, na Boga, żebym nie wiedział co posiadam”—odparł stanowczo baron. Gdy wychodziłem z hotelu, przeliczałem pieniądze, było wówczas ośm pięćdziesiątek; liczyłem je poraz drugi, gdym tu szedł bezpośrednio.

Powstała grobowa, nieprzyjemna cisza... Landrat po długiej, nieznośnej pauzie zabrał głos: „Przykro mi bardzo baronie, ale jeżeli pieniądze te tutaj były, to tutaj znaleźć się muszą.”

Przypominam sobie, że jakiś moment żałowałem nie barona, ale zacnego landrata, któremu wielce nieprzyjemnie było, że w jego tak powszechnie szanowanym domu coś podobnego się stało. Już miałem na języku sprawę całą w żart obrócić, wyjaśnić ją i zaginiony banknot zwrócić, lecz w ostatniej chwili powstrzymałem się; raz dla tego, że pieniądze zgubione pragnąłem przywłaszczyć, to znowu, że coś niewytłomaczonego podniecało mnie do przestępstwa o tyle ciekawego, że przestępcą i wykonawcą sprawiedliwości byłem ja w jednej osobie.

Powstało gorączkowe poszukiwanie zguby; zapytania i przypuszczenia krzyżowały się nieustannie.

Czy pan czasem banknotu tego nie włożył oddzielnie do kieszeni?... Czy pan po drodze nie wstępował do jakiego sklepu? Czy pan w hotelu dobrze liczył? A może banknot znajduje się w kieszeni innego tużurka?

Baron, który zazwyczaj był nieco szorstki, odpowiadał i to nie słodkim tonem, że o pomyłce nie może być mowy.

W końcu odezwałem się ja z źle ukrytą ironią w głosie, pozatem jednak zimno i praktycznie: „Ponieważ baron jest pewny swego, nie pozostaje nam, jego partnerom, nic więcej, jak poddać się ścisłej rewizji. Ja w tym wypadku, jako pierwsza bezpośrednia władza policyjna w mieście, proszę o bliższe rozkazy, panie baronie”.

Słowa moje nie wywarły zamierzonego skutku. Baron zrozumiał, że w takim domu, jak landrata, nie można stawiać kwestji zbyt ostro. Z miną magnacką odparł, że cała ta historia, to bagatelka

i jutro na pewno sprawa się wyjaśni. Z pewnością albo tutaj, albo w hotelu pieniądze się znajdują. Wogóle pięćdziesiąt talarów nie odgrywają u niego żadnej roli.

W nieco przykrym nastroju rozchodziliśmy się do domów. W przedpokoju szepnął mi landrat, że nazajutrz pragnie zemną pomówić.

Udałem się z doktorem do domu. W drodze ubolewaliśmy, że baron tak niewłaściwie się zachowywał. Gdyby nie był tak pijany, byłby wiedział, co czyni i mówi i z pewnością zajście całe nie przybrałoby tak drażliwego charakteru.

W rzeczywistości obraził on całe towarzystwo landrata, oskarżając je o kradzież.

Ja mówiłem o tej sprawie obszernie i z oburzeniem; przyjaciel mój przeciwnie, starał się całe zajście w żart obrócić.

— Gdyby tak nawet było, powiedz pan, gdyby w rzeczywistości pan, albo ja, wziął tę pięćdziesiątkę, nie byłoby to nawet moralnem tego głupca barona z jego mamony oskubać? Czy nie byłibyśmy narzędziem sprawiedliwej Nemezis? Czy oszukany pastor nie rozgrzeszyłby nas z tej winy?

— Nie sądźmy tych spraw tak powierzchownie—odparłem—ja z mej strony uważam kradzież za najwstrętniejsze przestępstwo. Pojmuję, że ktoś w uniesieniu zabije drugiego; w zbrodni takiej ukrywa się nieraz szlachetne, podniosłe uczucie. Usprawiedliwić też można kradzież popełnioną z głodu, ale kradzież, której motywem jest tylko chęć zdobycia, to zbrodnia pospolita!

W czasie wypowiedzania tych frazesów, radowałem się z czystości głosu, który ani zadrgał przy wygłaszaniu tych wzniosłych zasad. Jednocześnie myślałem o tem, żeby czasem pięćdziesięciotalarówka nie wysunęła mi się z kamaszka.

Na rynku rozeszliśmy się z doktorem. Jak tylko sam pozostałem, schyliłem się, aby sprawdzić, czy pieniądze w bucie się znajdują i wydobyłem je, aby w bezpieczniejszem miejscu ukryć.

Wesoły, pogwizdując, wracałem do domu, planując, że prędzej banknotu nie zmienię, aż pensji nie podniosę z kasy. Co trzy miesiące będę kilka grubszych banknotów zmieniał w banku miejskim, aż do wymiany pięćdziesiątki.

W domu poleciłem rząsiście oświetlić mieszkanie, wydobyłem buteleczkę wspaniałej madery i zapaliłem wyborne cygaro. Teraz z pewnością baron pali jedno z tych cygar, które w oczach moich zabrał z pudełka landrata. Czy w rzeczywistości jest on lepszym odemnie?..

Czułem się w wyborzym humorze, przyglądając się pięćdziesięciotalarówce, leżącej na stoliku obok kieliszka z winem. Ogarnęło mnie uczucie zadowolenia, jakie objawia się przy wygranej na loterii, albo przy otrzymanym spadku.

Zanim udałem się na spoczynek, schowałem banknot między paczkę listów, które na strychu w niezamkniętej walizie leżały. Kryjówka ta, dla tego, że wszystkim dostępna, wydawała mi się najpewniejszą.

Dnia następnego najpierw udałem się do krawca i obstałowałem sobie palto zimowe. Miało być podbite jedwabiem. Palto to było jakby darowane, dlatego więc nie miałem zadysponować sobie zbytkowniejszego okrycia grzbietu?

Od krawca udałem się wprost do landrata, którego zastałem w biurze. Powitał mnie serdecznie, choć z nieco nachmurzoną miną.

— Kochany burmistrzu! powiedz sam, czy to nie fatalna była wczoraj historia? Co mi pan radzi uczynić? Nie można sobie tego inaczej tłómaczyć, jak tylko skradzeniem pieniędzy przez służbę.

Dopuszczył się tego albo mój stary Lars, albo lokaj najęty. Doprawdy, rzecz trudna do pojęcia... znam obu, jako z gruntu uczciwych ludzi, a przecież podejrzenie pada na nich. Przykra to rzecz, bo obu za żadną cenę niechciałbym w jakikolwiek kłopot wprowadzić, obaj są ojcami rodziny i obaj oddani memu domowi. Życzę więc sobie, aby całe zajście pokryć milczeniem. Dlatego postanowiłem napisać do barona, iż po rozejściu się gości banknot się znalazł i w liście pieniądze odesłać. Pan na moim miejscu z pewnością uczyniłbyś to samo. Jedyne to wyjście. Czy tu może jeszcze zachodzić jakie posądzenie? Powiedz sam, drogi przyjacielu?

Tu nadmienić należy, że szambelan Lilje nie był zbyt świetnie sytuowany; nie posiadał też osobistego majątku, któryby mu ułatwiał prowadzenie domu na wyższej stopie, co koniecznym jest na stanowisku landrata.

Przykro mi się zrobiło na myśl, że on bogatemu baronowi chce zwracać pięćdziesiąt talarów; sumę, która dla tego karciarza nic nie znaczyła, a w każdym razie w budżecie jego żadnej roli nie odgrywała.

Dla tego też odezwałem się:

— Drogi szambelanie, pan sprawę tę zbyt bierze do serca. Ja przynajmniej nie jestem pewny, czy baron rzeczywiście jakie pieniądze zgubił. Nawet wszyscy się na jedno zgadzamy, że był zbyt podchmielony i nie wiedział, co plótł. Kto wie, czy on wogóle co zgubił? Radzę panu z listem jeszcze się nie spieszyć. Zobaczmy, jaki obrót sprawa przybierze.

Uspokoiłem w ten sposób nieco szambelana, poczem natychmiast pospieszyłem do hotelu.

Baron, jak się tego spodziewałem, nie wstał jeszcze, zastałem go w łóżku.

— Mówiąc między nami baronie, obaj jesteście kawalerami, — Czy pan, naturalnie jeżeli dojdzie

do śledztwa, będziesz mógł stwierdzić, że po dokonaniu transakcji z końmi, to jest po wyjściu od pastora, a przed obiadem u szambelana nie byłes w jakim miejscu, gdzie ta nieszcześna pięćdziesięciotalarówka mogła zginąć?

Ja nie tylko jestem kawalerem, ale także burmistrzem, a w czasie mego urzędowania dowiedziałem się o pewnym buduarze w „Grapengiesser”.

Baron zrozumiał mnie, utrzymywał jednak stanowczo, że na ulicy „Grapengiesser” nie mógł pieniędzy zgubić; dla zapobieżenia jednak plotkom małomiejским i dalszym nieprzyjemnościom, wreszcie ze względu na osobę zacnego landrata, którego pragnął zasłonić od drwinków i jakichkolwiek przykrości, napisał list, w którym donosi, że zgubiony banknot znalazł się w hotelu i za całe zajście przeprasza serdecznie.

Tak zakończyła się powyższa sprawa, ku ogólnemu zadowoleniu naszego towarzystwa. Nowe palto, nabyte za pieniądze barona, było świetne i oddawało mi przez długie lata wyborne usługi. Gdy już podstarzało się i na spacer używać go nie mogłem, służyło mi jako szlafrok, gdy było zimno w sali sądowej.

Przyczyniło się ono do niejednego łagodnego wyroku w drobnych przestępstwach, popełnianych z biedy.

Ono też, w czasie gdy było nowe i wspaniałe, przysłużyło się do zdobycia ręki najukochańszej mojej małżonki, z którą przez dwadzieścia lat najszczęśliwiej żyłem. Niewiasta ta wniosła w dom posag, który mi ułatwił życie i powstrzymał od powtórzenia kradzieży, która, *przysięgam*, jedyną była w życiu.

Jestem pewny, że po mojej śmierci wszyscy mówić będą, że zachowywałem się na urzędzie wzorowo i byłem czysty jak łąza.

Tak było... z tym jednym tylko, tu opisanym wyjątkiem.

Wyjątek ten nie powinien jednak pozostać tajemnicą. Bo czyż on nie jest pouczający, że człowiek na urzędzie taką drogą zdobywać musiał palto i żonę?...

Czy w tych warunkach źle uczyniłem, dopuszczając się kradzieży, niech surowy czytelnik sam osądzi.

K O N I E C.

T R E Ś Ć:

MIMI

OFIARA

BAJKA WIGILIJNA

NA BALU

SYMULANT

W SZPITALU

ŚWIATŁO W OKNIE

PRÓBA OGNIOWA

ZIMOWE PALTO.



TANIA BIBLIOTEKA

№ 19

ARTUR SCHNITZLER

GDY SIĘ DUCH ZAMROCZY

NOWELE

tłumaczył

Włodzimierz Trąpczyński



WARSZAWA

Nakładem Spółki Wydawniczej

JAN ROWIŃSKI I ADAM SOBIESZCZAŃSKI

Hoża 16



Druk Drukarni Polskiej, Warszawa, Jasna 2.
(L. Straszewicza).

1907.

Nowa piosenka.

— Nie moja w tem wina, panie Breiteneder...
nie moja wina... bardzo proszę... tego nikt nie może
powiedzieć!

Karol Breiteneder słuchał tych słów, jak słucha człowiek, do którego przemawia ktoś ze znacznego oddalenia. A przecież osoba mówiąca znajdowała się tuż przy nim i trzymając się jego boku, dreptała obok. Pan Breiteneder czuł nawet zapach wina, wydobywający się wraz ze słowami z ust mówiącego. Ale nie odpowiadał na to. W tej chwili nie czuł siły do zapuszczania się w długie wyjaśnienia; za nadto był zmęczony i wstrząśnięty straszliwą przygodą, która go spotkała tej nocy. Jednego tylko pragnął: chciał być sam i oddychać świeżem powietrzem. Dlatego też nie poszedł do domu i daleko milszy mu był wietrzyk poranny, oraz pusta zupełnie ulica, którą dążył ku pagórkom leśnym, wylaniającym się po przez chmury majowe.

Od czasu do czasu jednak dreszcz przebiegał jego ciało od stóp do głów i wtedy nie czuł wcale ożywczej świeżości poranka, która w każdym innym razie po nocach nieprzespanych zwykła go była orzeźwiać i krzepić. Ciągle przed oczami miał

straszliwy obraz tego, co się stało i przed czym teraz uciekał.

Człowiek, idący przy nim, widocznie dopiero przed chwilą dogonił Breitenедера. Czego on chciał od niego?... Czemu się bronił?... I dlaczego właśnie przed nim się bronił?... Przecież chyba Breiteneder nie myślał o tem, ażeby staremu Rebayowi czynić wyrzuty głośne, chociaż doskonale wiedział, że ten stary głównie zawinił, wobec tego, co się stało.

Teraz przyglądał mu się z boku. Jakże ten człowiek wyglądał! Surdut czarny był pognieciony i poplamiony, jeden guzik urwany, inne zaś wisiały na naderwanych kawałkach sukna; w dziurce od guzika tkwiła gałązka obumarłego kwiatu. Karol ten kwiat widział jeszcze wczoraj wieczorem świeżym i woniejącym. Udekorowany tym samym tulipanem w butonierce, siedział kapelmistrz Rebay przy rozstrojonym pianinie i akompanjował do wszystkich produkcji trupy Ladenbauera, jak to zwykł był czynić od lat blisko 30-tu.

Mała restauracja zapełniła się gośćmi i aż na ogród wynosić musiano stoły i krzeselka, afisz bowiem zielony, wielkimi, czarnymi i czerwonymi zadrukowanymi literami, zapowiadał: „*Pierwszy występ po powrocie do zdrowia z ciężkiej choroby panny Marji Ladenbauer, zwanej „Białym kosem*”.

Karol odetchnął głęboko. Robiło się coraz jaśniej i obaj nie byli już teraz jedyne osoby, kręcącymi się po ulicy. Poza nimi, jak również z różnych ulic bocznych, ha! nawet z lasu wysuwali się rozmaici przechodnie. Na ten widok przypominał sobie dopiero Karol, że to jest niedziela.

Rad był, że nie ma żadnej potrzeby powracać do miasta, chociaż ojciec jego zapewne chciałby, jak to czynił nieraz, ażeby odrobił w niedzielę opuszczony dzień powszedni. Stary zakład tokar-

ski przy ulicy Alzera prosperował dobrze nawet bez niego, stary ojciec zaś wiedział z doświadczenia, że rodzina Breitenederów dotąd prowadziła zawsze żywot solidny. Cała historia z Marją Ladenbauer oczywiście niepodobała mu się bardzo.

— Możesz robić, co ci się podoba—rzekł raz łagodnie do Karola. — Przecież i ja kiedyś byłem młody! ale chociaż żyłem z różnymi dziewczynami, to jednak nie bywałem u ich rodziny. Zbyt dobre miałem o sobie wyobrażenie.

Karol pomyślał sobie teraz: „Gdybym był słuchał ojca, to nie jednej oszczędziłbym sobie przykrości”. Ale on Marję bardzo lubił. Było to stworzonko wesołe, dobroduszne i przywiązane do niego. Nie wiele z sobą mówili, a kiedy pod rękę szli na spacer, to Marynia tak skromnie wyglądała, że nikt nie mógłby pomyśleć, iż niejedno przeszła już w życiu. Zresztą cały sposób prowadzenia domu jej rodziców nie różnił się w niczem od zwykłych gospodarstw mieszczańskich.

Mieszkanie utrzymane było czysto i gustownie, na etażerze stały książki. Często przychodził w odwiedziny brat starego Ladenbauera, mający posadę urzędnika w magistracie i wówczas rozmawiano o rzeczach bardzo poważnych, o polityce, o wyborach, o gospodarce gminnej.

W niedzielę Karol nieraz grywał w taroka ze starym Ladenbaurem i z tym narwanym Jedekiem, który to wieczorami w kostjumie clowna wygrywał różne walece i marsze na szklankach i talerzach.

Każdą wygraną w taroka wypłacano sumiennie, czego nie robiono zawsze w kawiarni, w której również grywał. We wnętrzu pod oknem, gdzie wisiały obrazki szklane z krajobrazami szwajcarskimi, siadywała wydłużona postać bladej pani

Jedekowej, podczas przedstawienia wieczornego deklamującej wiersze nudne i rozwlekłe.

Jedekowa gawędziła z Marynią, przytakując prawie ustawicznie, ale Marynia wzrokiem biegła do Karola i przesyłała mu żartobliwie ręką pozdrowienia. Czasami znów siadywała przy nim i patrzyła w jego karty.

Brat Marji zatrudniony był w wielkim magazynie, a odznaczał się taką przyzwoitością, że ile razy Karol poczęstował go cygarem, tyle razy on mu się za to odwdzięczał również cygarem. Siostre swoją kochał bardzo, uwielbiał nawet, i nieraz od najgłośniejszego w mieście piekarza, wyrabiającego także ciastka, przynosił jej coś do chrupania. Gdy żegnał się z towarzystwem, zwykł był mówić, przymrużając oczy: „Niestety! muszę odejść, przyrzekłem bowiem gdzieindziej jeszcze swoją wizytę”...

Oczywiście najmilej było Karolowi wtedy, gdy się znajdował z Marją sam na sam. I w tej chwili nawet przypominał sobie pewien poranek, gdy tak samo jak teraz i tą samą drogą odbywał przechadzki z nią ku szumiącemu lekko laskowi, rozrzucenemu po wzgórzach.

Oboje byli wtedy zmęczeni, wyszli bowiem prosto z kawiarni, gdzie aż do świtu przesiadzieli w całym towarzystwie śpiewaków; ułożyli się przeto pod rozłożystym klonem na spadzistości ku łące i zasnęli. Dopiero w południe owego dnia upalnego obudzili się i wesoło gwarząc, śmiejąc się i żartując, udali się głębiej w las, a przepędziwszy w ten sposób dzień cały, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, późnym wieczorem wrócili do miasta na przedstawienie...

Pięknych wspomnień tego rodzaju było wiele. O przyszłości nie myśleli wcale i żyli obok siebie bardzo zadowoleni z życia.

Na początku zimy zachorowała Marja nagle, a doktor zakazał wszelkich odwiedzin chorej. Było to zapalenie mózgu, czy też coś podobnego, wszelkie zaś wzruszenie musi być w takich razach omi-jane. Karol chodził codziennie do Ladenbauerów dowiadywać się o zdrowie, później, gdy choroba się przedłużała, udawał się już tylko co drugi lub co trzeci dzień.

Pewnego dnia rzekła pani Ladenbauerowa, otwierając mu drzwi:

— No! dziś wolno już panu wejść, proszę jednak, ażeby się pan nie zdradził.

— Co to znaczy „nie zdradził”? Cóż się stało?—zapytał Karol.

— Ha! Z oczami niestety! jest źle i żadna pomoc tu już nic nie poradzi.

— Dlaczego?

— Prawie nic nie widzi... To jedno pozostało jej po chorobie. Ale ona nie wie jeszcze, że stan jej ócz jest nieuleczalny, niech się pan przeto bardzo ma na baczności, ażeby tego nie spostrzegła.

Karol zdołał zaledwie wybaknąć kilka słów i nie poszedł do pokoju chorej. Nagle strach go ogarnął na myśl, że oglądać będzie swoją Marję. Zdawało mu się, że nie tak bardzo nie przyciągało go do niej, jak właśnie te jej oczy, takie jasne zawsze, te oczy, któremi ona śmiech swój wyrażała najlepiej.

Chciał przyjść nazajutrz, ale nie przyszedł nawet w trzecim dniu, odwiedziny odkładał ciągle. Dopiero wtedy pragnął ją ujrzeć znów, gdy już ona pogodzi się ze swoim losem. Później tak wypadło, że musiał wyjechać za interesami ojca. Podróż to była długa, zatrzymywał się w Berlinie, Dreźnie, Kolonji, Lipsku, Pradze. Raz napisał kartę pocztową do starej pani Ladenbauerowej, gdzie oznajmiał, że natychmiast po swoim powrocie przy-

dzie w odwiedzin; równocześnie pięknie pozdrowiał Marję.

Z wiosną powrócił—ale do Ladenbauerów nie poszedł; nie mógł się na to zdecydować... Rzecz naturalna, że z dnia na dzień coraz mniej myślał o niej, a nawet postanowił zapomnieć. Przecież ani on był pierwszy w jej sercu, ani będzie ostatni. Nie słysząc nic o niej, uspokajał się coraz więcej i, chociaż nie miał ku temu żadnych podstaw, wyobraził sobie, że Marja chyba znajdować się musi u krewnych na wsi, o których wspominała mu nieraz.

Wczoraj wieczorem wypadek (chciał pójść do znajomych, mieszkających w pobliżu) spowodził go przed dom, w którym zwykle odbywały się przedstawienia trupy Ladenbauera. Zatopiony w myślach chciał już przejść mimo, gdy wzrok jego padł na afisz żółty i wtedy dopiero zrozumiał gdzie się znajduje. Poczul ukłócie w sercu, zanim jeszcze zdołał choćby jeden wyraz na afiszu przeczytać. Ale gdy zobaczył czarne i czerwone litery i odcyfrował: „*Pierwszy występ Marji Ladenbauerówny po jej wyzdrowieniu*“, wtedy stanął jak gdyby atakiem paraliżu tknięty. A właśnie w tej chwili, jak gdyby z ziemi wyrosły, stanął przed nim Rebay z siwą odkrytą głową, ze zmiętym cylindrem w rękę i świeżym kwiatkiem u surduta. Rebay pozdrowił Karola:

— Nie! Coś podobnego... ależ to pan Breiteneder! Przecież nas pan chyba dzisiaj zaszczyści swoją obecnością. Panna Marja nie będzie się posiadała z radości, gdy posłysz, że dawni jej przyjaciele chcą ją oglądać. Biedne stworzenie! wycierpieliśmy z nią wiele, ale obecnie pogodziła się z losem.

Mówił jeszcze wiele innych różnych rzeczy, a Karol słuchał, nie ruszał się z miejsca, chociaż najchętniej wolałby się znajdować jak najdalej od

tego miejsca. Nagle obudziła się w nim pewna nadzieja i zapytał, czy rzeczywiście Marja nic nie widzi, czy też pozostała jej choćby odrobina wzroku?

— Odrobina? — odpowiedział Rebay — co też pan mówi! Nie, zupełnie nic nie widzi!

Mówił to z dziwną jakąś wesołością i dodał:

— Przed jej oczyma wszystko jest czarne jak węgiel, że jednak każda rzecz ma swoją dobrą stronę, jeżeli tak wolno powiedzieć, więc i teraz dziewczyna ma głos bez porównania piękniejszy niż kiedyś... zresztą sam to pan zobaczy. A przysięgam, że to dobra, nadzwyczajnie dobra, jeszcze uprzejmiejsza, niż była dawniej. Toć ją pan zna przecież. Dziś więcej przyjdzie takich, którzy ją znają, chociaż ci inni nie byli nigdy dla niej tacy dobrzy, jak pan. Teraz, naturalnie skończyło się wszystko z temi pewnemi historyjkami, ale to jeszcze przyjdzie, to przyjdzie. Znałem kobietę niewidomą, która miała bliźnięta... ha, ha... A teraz niechaj pan tutaj spojrzy—dokończył nagle i Karol, obróciwszy się, spostrzegł, że stoi przed kasą, przy której siedziała pani Ladenbauerowa.

Pani dyrektorowa była zadęsa, blada i spojrzęła na Karola, nie wyrzekłszy ani słowa. Wzięła mu bilet, więc zapłacił, sam nie zdając sobie z tego sprawy, co się z nim dzieje. Nagle wykrzyknął również bezwiednie:

— Tylko pannie Marji niech pani nic nie mówi! Na miłość boską proszę jej nie objaśniać, że jestem na sali!... Panie Rebay! nic nie mówić, nic, nic.

— Dobrze już, dobrze—odpowiedziała Ladenbauerowa i zajęła się innymi osobami, które przyszły po bilety.

— Odemnie ani słówka się nie dowie — rzekł Rebay—ale później, to dopiero będzie niespodzianka! Przecież pan pójdzie z nami... wielka uro-

czystość... ho ho!... a tymczasem moje uszanowanie panu.

I Rebay zniknął. Karol przeszedł przez zapelnioną salę i w ogrodzie usiadł przy stoliku, ustawionym w zupełnym kącie, gdzie już przedtem siedział jakiś mężczyzna z kobietą. Państwo ci nie mówili nic do siebie, w milczeniu oglądali sąsiada i smutnie kiwali głowami.

Karol siedział i czekał. Rozpoczęło się przedstawienie i znów stare, dawno znane rzeczy obily się o jego uszy. Pomimo to wydawało mu się, że jednak coś się tutaj zmieniło; nigdy tak daleko nie był od sceny. Najpierw pan kapelmistrz Rebay odegrał t. zw. „uwerturę“ z której do uszu Karola dochodziły tylko niektóre twarde akordy. Potem, jako pierwszy numer, ukazała się węgierka, Ilka, w jasno czerwonej sukni, w bucikach z ostrogami; śpiewała piosenki węgierskie i tańczyła czardasza. Następnie ukazał się komik Wiegel-Wagel i wypowiedział odczyt humorystyczny. Komik ten pojawił się w zielonym fraku i na wstępie oznajmił, że przybywa wprost z Afryki. Najglupsze w świecie przygody tworzyły treść tego odczytu, zakończono go opowieścią o małżeństwie deklamatora ze starą wdową murzyńską. Trzeci numer stanowił duet pana i pani Ladenbauerów; wystąpili oni w kostiumach tyrolskich, a gdy skończyli, w brudnym, białym ubraniu błazna ukazał się mały Jedek, pokazujący najpierw sztuki żonglerskie, a następnie wyłupiastemi oczyma wodził po publiczności, jak gdyby szukał kogoś. Ustawwszy przed sobą talerze w kilku rzędach, zaczął laską wygrywać hałaśliwego marsza, potem uporządkował sobie kieliszki i mokremi palcami wydzwaniał rozmażające tony walca. Przy tej produkcji patrzył w sufit i uśmiechał się błogo. Jedek skończył, a wtedy znów ukazał się Rebay i ogromnemi łapami wygrywał coś wielce uroczystego.

Salę przebiegł teraz szmer szeptów, ludzie podnieśli głowy do góry i—nagle na estradzie ukazała się Marja, „Biały kos”. Wprowadził ją ojciec ale on zniknął, jak nurek i Marja została sama, Karol widział ją stojącą tam na górze z zagasłemi oczyma w bladym, słodkim obliczu; widział dokładnie, że najpierw poruszyła ustami i uśmiechnęła się lekko.

Sam nie wiedząc, co robi, zerwał się z krzesła i oparł o drzewo, na którym wisiała zielona latornia. O mało nie krzyknął ze strachu i litości.

Marja zaczęła śpiewać, ale głos to był inny, obcy, śpiewała ciszej, daleko ciszej niż dawniej. Piosenkę tę słyszał Karol co najmniej pięćdziesiąt razy, a jednak teraz ten głos brzmiał mu dziwnie, obco i dopiero gdy śpiewaczka doszła do *refrain*: „Czy w domu, czy w mieście zwą mnie „białym kosem”, dopiero wtedy zdawało się Karolowi, że rozpoznaje dźwięk tego głosu. Odśpiewała wszystkie trzy strofki, a Rebay, który jej towarzyszył na fortepianie, zwyczajem swoim często spoglądał ostrym wzrokiem ku niej. Kiedy skończyła, w całym ogrodzie rozległy się oklaski, głośnie, huczne. Marja uśmiechała się i kłaniała. Matka podeszła teraz do niej po trzech schodkach, oddzielających podłogę od estrady, a Marja zaczęła w powietrzu robić ruchy rękami, jak gdyby szukała oparcia na rękach matczynych. Ale oklaski były takie silne, że musiała odrazu rozpocząć drugą piosenkę, którą Karol równie słyszał z pięćdziesiąt razy. Piosenka rozpoczynała się od słów: „Dziś z ukochanym wybiegnę na pole,...” a Marja z takim zadowoleniem uniosła głowę w górę, jak gdyby rzeczywiście pod rękę z ukochanym szła po łące zielonej i patrzyła w niebo błękitne i gotowa była zatańczyć na świeżym powietrzu. A potem zaśpiewała tę trzecią, tę nową piosenkę.

— Tutaj obok jest mały ogródek — rzekł Rebay, a na ten głos Karol wstrząsnął się cały.

Słońce świeciło jasno; ulica tonęła w blaskach słonecznych, wokoło było jasno i panowało ożywienie. A Rebay ciągnął dalej:

— Tu jest ogródek i moglibyśmy wejść na szklanekę wina.

Uczuвам ogromne pragnienie... będziemy dzisiaj mieli upał:

— I to jeszcze jaki upał mieć dzisiaj będziemy! — odezwał się w tej chwili ktoś po za nimi.

Breiteneder się obejrzał... I ten jeszcze pobiegł za nim?... Czegoż on chce?..

Był to narwany Jedek. Nigdy go inaczej nie nazywano. I rzeczą było pewną, że ten człowiek w najbliższym już czasie musi wpaść w oblakanie. Przed kilku dniami groził swojej żonie bladej, długiej kobiecie śmiercią i dla wszystkich tworzyło zagadkę, dlaczego go pozostawiono na wolności?

W tej chwili Jedek, karłowato niski, kroczył tuż obok Karola. Twarz jego była żółtawa, a z tej twarzy na świat spoglądało dwoje wesółych oczu. Na głowie miał popielaty, miękki kapelusik z piórkami rozstrzępionem, znany dobrze całemu miastu, w rękę trzymał cieniutką laseczkę. Jedek wysunął się naprzód i w podskokach przed innymi wpadł do małego ogródka, usiadł na ławce drewnianej, przylegającej do niskiego domku i silnie uderzać zaczął laseczką w stół, nawołując kelnera. Dwaj jego towarzysze poszli za nim. Wzdłuż parkanu zielonego ciągnęła się dalej ku górze biała ulica i ginęła w lesie, pozostawiając za sobą małe, smutnie wyglądające wille.

Kelner przyniósł wina. Rebay cylinder swój położył na stole, ręką przejechał po siwej czuprynie i zwyczajem swoim potarł wargi. Następnie

odsunął szklanekę Jedeka i przechylając się przez stół, mówił do Karola:

— Nie jestem w ciemną bity, panie Breiteneder i wiem co robię. Dla czego więc ja miałbym właśnie być winien?... Czy pan wie, dla kogo w młodszych latach pisywałem kuplety?... Dla Matrasa, panie! To nie bagatela! I te kuplety robiły wrażenie! Tekst i muzyka były moje, a niektóre z nich służą dzisiaj jako „wkładki” w innych sztukach.

— Niechaj pan nie rusza mojej szklanki — rzekł Jedek i śmiał się sam do siebie.

— Jestem przecież panu znany — nie stropiony tem mówił znów Rebay — jako człowiek przyzwoity, a w kupletach moich niema nigdy żadnej pikantności. Ten zaś kuplet, za który stary Ladenbauer został kiedyś skazany, nie był mojego pióra; napisał go ktoś inny. Mam dzisiaj lat 68, a to ładna cyfra! A czy pan wie, jak dawno już pracuję w trupie Edwarda Ladenbauera, który był towarzyszem naszego założycielem? Wtedy żył jeszcze stary Edward, Marję zaś znam od urodzenia. Dwadzieścia dziewięć lat pracuję u Ladenbauerów, w przyszłym marcu obchodzić będę swój jubileusz. Melodji nie kradłem nikomu, wszystko to jest moje, wszystko własne! A czy pan wie, ile razy w tym czasie grano moje dzieła sceniczne? Osiemnaście, panie! Czy nie prawda Jedek?

Jedek nie przestawał się śmiać po cichu, oczy mając szeroko otwarte. Przysunął do siebie wszystkie trzy szklanki, i zaczął palcami wodzić po ich brzegach. Brzmiało to delikatnie, nawet trochę wzruszająco, jak gdyby z oddali dochodziły odgłosy obojów i klarnetów. Wprawdzie Breiteneder podziwiał tę sztukę u Jedeka; ale w tej chwili nie mógł znieść tych tonów. Za to przy innych stolikach słuchano uważnie, kilka osób kiwało

głową z zadowolenia, pewien zaś tłusty pan kłaskał w ręce. Nagle Jedek odsunął wszystkie trzy szklanki, ręce skrzyżował na piersi i bezmyślnie patrzył w ulicę, którą coraz więcej ludzi szło ku laskowi. Karolowi majaczyło coś przed oczyma i zdawało mu się, że tych ludzi tańczących i kołyszących się widzi jakgdyby za gazą lekką. Tarł sobie czoło i rzęsy, chciał przyjść do siebie.

Przecież on temu nic nie był winien! Stało się straszliwe nieszczęście, ale nie jego wina. Nagle powstał, nie chciał bowiem zastanawiać się dłużej, gdyż to zastanowienie rozpie-rało mu piersi.

— Chodźmy — rzekł krótko.

— Rzeczywiście, świeże powietrze, to grunt — odparł Rebay.

Jedek był zły i nikt nie wiedział dla czego. Stał przed stołem, przy którym siedziała jakaś spokojna para, wywijał laseczką i krzyczał podniesionym głosem;

— Niech djabli porwą sztukę i instrumenta muzyczne do stu jasnych piorunów!...

Spokojna para nieustraszyla się tym okrzykiem i chciała Jedeka uspokoić, ale inne osoby się śmiały, sądząc, że błazen jest pijany.

Breiteneder i Rebay dawno byli na ulicy, gdy za nimi w podskokach podążył Jedek, który teraz był już znów zupełnie spokojny. Zdjął kapelusik szary, zawiesił go na laseczce i niósł, jak nosi żołnierz karabin; drugą ręką wykonywał ruchy, jak gdyby kłaniał się niebu i słońcu.

— Niechaj pan nie myśli, że się chcę usprawiedliwiać — mówił Rebay dzwoniąc zębami. — Nie! nie mam do tego żadnego powodu. Miałem najlepsze intencje i to każdy mi przyzna. Czyż tej piosenki sam z nią nie przestudjowałem?... Jeszcze wtedy, gdy z zawiązanymi oczyma siedział w pokoju, odbywałem próby... A czy panu

wiadomo, w jaki sposób wpadłem na tę myśl! Oto pomyślałem sobie tak: Stało się nieszczęście, ale przecież nie wszystko jest jeszcze stracone. Zachowała głos i twarz piękną. To samo powtórzyłem matce, która zupełnie była zrozpaczona. „Moja pani Ladenbauer”, mówiłem, „jeszcze nie ma nic straconego. W dzisiejszych czasach są jeszcze takie zakłady, gdzie niewidomych z czasem uczą nawet czytać i pisać. Znałem takiego młodzieńca, który oślepił w 20-tym roku życia. W dzień był bardzo nieszczęśliwy, ale gdy przyszła noc, to mu się śniły różne rzeczy, pożary, ognie i w ogóle wszelkie jasności”. Tak mówiłem do pani Ladenbauerowej...

Breiteneder wybuchnął śmiechem;

— Czy pan to mówi serio?

— I cóż miałem robić? Czy może się zabić? Dostyc już nieszczęść przeszedłem na świecie. Albo może pan myśli, że to miłe życie akompaniować na nędznym klawicymbale rozmaitej zachrypłej hołocie i robić to w 68-ym roku życia za nędznych kilka centów dziennie wtedy, gdy człowiek jako młody chłopiec napisał piękną sztukę teatralną? Jeszcze pisać dla tej hołoty kuplety!... I czy pan wie, co ja za taki kuplet dostanę?... Zdumiałby się pan, gdybym panu powiedział.

— Ha! Gdy się raz już zagra na jakim instrumencie, to potem trzeba grać wiecznie — wtrącił Jedek, który teraz stał się zupełnie poważny, przyzwyczajony, a nawet elegancki.

— Wszystko to dobrze, powiedzcież mi jednak panowie, czego wy właściwie odemnie chcecie? — zapytał Breiteneder któremu wydało się teraz, że ci dwaj ludzie prześladowają go, nie wiadomo za co. Co on z tymi ludźmi ma wspólnego?... Ale Rebay mówił dalej:

Byt chciałem zapewnić tej dziewczynie, czy pan rozumie? Byt chciałem zapewnić, i właśnie

to sprawić miała nowa piosenka. Czy ta piosenka nie jest ładna, czy nie wzruszająca?

Mały Jedek schwycił w tej chwili Breitenедера za rękaw, podniósł palec wskazujący do góry, nakazując uwagę i zagwizdał melodię piosenki, którą Marja Ladenbauer śpiewała tej nocy. A gwizda ją w sposób skończenie doskonały, gdyż i to należało do jego kunsztu.

— Melodia nic nie zaszkodziła—rzekł Breiteneder.

— Cóż więc zaszkodziło? Może tekst? Ależ na miłość Boską! czyż w tym tekście jest coś takiego, o czym Marja nie wiedziała sama? Kiedy w jej pokoju studjowaliśmy tę piosenkę, ani razu nie zapłakała i raz tylko powiedziała: „To smutna piosenka, panie Rebay, ale ładna”... Ładna, podobała się jej. No! naturalnie, że piosenka jest smutna, ale też smutna jest dola, którą jej los zgotował. Przecież w takich warunkach nie mogłem dla niej napisać wesołej piosenki.

Ulica wbiegała do lasu, przez gałęzie drzew przedostawało się słońce, a wokół z pośród zarośli i krzaków uszu ich dochodziły śmiechy i wesołe okrzyki. Wszyscy trzej szli szybko, tak szybko, jak gdyby jeden chciał wyprzedzić drugiego. Ale Rebay mówił ciągle:

— A słuchacze, czyż do stu piorunów, nie oklaskiwali jej jak warjaci! Z góry wiedziałem, że ta nowa piosenka będzie miała powodzenie bajeczne. Zrobiło jej to wielką przyjemność, śmiała się, ostatnią zaś zwrotkę musiała powtarzać. Ale też to jest wzruszająca zwrotka i kiedym ją pisał, sam łzy miałem w oczach. Wzrusza szczególniej ta aluzja do piosenek, które dawniej śpiewała.

Stary zaczął śpiewać, choć właściwie nie śpiewał, lecz deklamował i tylko rymy wybijał silnie, wydobywając tony, jak gdyby z zepsutego organu:

„Jakże mi w świecie wtedy było miło,
„Gdy słońce dla mnie, jak innym, świeciło
„Gdy z ukochanym szliśmy razem laskiem
„A promień słońca grzał miłosnym blaskiem.
„Dziś nie ma słońca, przed mym wzrokiem ciemnie,
„Szczęście i miłość odbiegły odemnie“.

— Dosyć, dosyć!—krzyknął Breiteneder—Przecież słyszałem to wszystko!

— I może powie pan, że to nieładne?—odpowiedział Rebay, uchylając z gracją cylindra.—Nie wielu jest takich na świecie, którzyby podobne umieli tworzyć kuplety. Pięć reńskich dał mi za to stary Ladenbauer... i oto są moje honorarja, panie Breiteneder. A przytem musiałem przecież przestudjować z nią wszystko.

W tej chwili Jedek podniósł znów do góry swój palec wskazujący i bardzo cicho śpiewał *refrain* piosenki:

„O Boże! Jak gorzki jest ten żywot cały
„Gdy sny wiosenne wszystkie się rozwiały.“

— Dlaczegoż zatem—nie mówił już, ale krzyczał stary Rebay—dlaczego? Przecież byłem u niej zaraz w pokoju! Czyż kłamie? Powiedz Jedek. Ona rozkosznie uśmiechnięta siedziała wtedy, piła wino, ja gładziłem jej włosy i mówiłem do niej: „No, widzisz Maryniu, to się ludziom podobało. Teraz nawet z miasta przyciągną do nas goście. Ta piosenka zrobi furorę; a śpiewasz przecudownie”. Co tam dalej mówiłem, nie wiem, ot! gadało się, co się zwykle gada w tego rodzaju okolicznościach... Przyszedł gospodarz lokalu, winszował, nawet kwiaty dostała. Od pana te kwiaty nie pochodziły, o tem wiem, panie Breiteneder... I wszystko było w porządku... Więc dlaczegoż właśnie mój kuplet miał zaszkodzić? Nie! To nonsens wierutny.

Breiteneder przystanął i nagle zaczął potrząsać ramionami Rebaya.

— Dla czego powiedziałeś, że ja jestem na sali? Dla czego? Czyż pana nie prosiłem, ażebyś milczał.

— Niech mnie pan puścił... Ja nie nie powiedziałem, widocznie słyszała od rodziców.

— Tak nie było — wpadł w tok rozmowy Jedek — ja sobie pozwoliłem powiedzieć jej o tem. Wiedziałem, że pan jest, więc ją o tem objaśniłem, a ponieważ ona pytała się o pana podczas swojej choroby, więc rzekłem: „Pan Breiteneder stał tam daleko pod latarnią i ogromnie się zajął pani piosenką”.

— To tak było? — krzyknął Breiteneder, ale w tej chwili coś schwyciło go za gardło i musiał odwrócić oczy od Jedeka, który zimno, ale uparcie patrzył na niego.

Zmęczony Karol padł na ławkę i przymrużył oczy. Zdawało mu się, że jest znów w tym samym ogrodzie i że słyszy głos starej Ladenbauerowej, która mówi: „Marynia pozdrawia pana i pyta się, czyby pan z nami nie usiadł razem po przedstawieniu?” Przypomnił sobie, jak to nieraz było mu przyjemnie, gdy stara Ladenbauerowa odzywała się w ten sposób. Dziwnie słodko było mu wtedy na sercu.

I tym razem zdawało mu się, że Marja przebaczyła mu wszystko; więc wypił wino i kazał sobie dawać coraz lepszego, bo życie zdawało mu się łatwiejsze do zniesienia.

Odtąd patrzył też na wszystkie produkcje artystyczne z wielkiem zadowoleniem, bił oklaski jak wszyscy inni ludzie, a kiedy przedstawienie się skończyło, w najlepszym usposobieniu przeszedł przez ogród i udał się do gabinetu, gdzie przy okrągłym stoliku zwykle się było zbierać towarzystwo całe po przedstawieniu.

Zastał tu już kilku członków trupy; siedział przy stole Wiegel-Wagel, Jedek z żoną, jakiś pan

w okularach, którego Karol nie znał, a wszyscy uprzejmie go pozdrowili, wcale tem nie zdziwieni, że się znalazł pomiędzy nimi.

Nagle posłyszał poza sobą głos Marji:

— Ależ ja trafię, mam, znam drogę.

Nie śmiał się obejrzeć, i nie spostrzegł się wcale, gdy Marja usiadła przy nim i rzekła:

— Dobry wieczór panu. Jakże panu się powodzi?

W tej samej chwili przypomniał sobie, że Marja „panie” zwykła była mówić tylko do tych mężczyzn, którzy byli zapomnianymi już tylko kochankami.

A potem kazała sobie podać kolację. Tę kolację podano jej w ten sposób, że wszystko było już poprzednio pokrajane. Towarzystwo bawiło się doskonale, jak gdyby nigdy nic nie zaszło.

— Dobrze nam dzisiaj poszło — rzekł stary Ladenbauer — widzę, że teraz dla nas lepsze nastaną czasy.

Pani Jedek opowiadała, że wszyscy zauważyli, iż głos Marji daleko jest piękniejszy, niż przedtem, stary zaś Wiegel-Wagel podniósł szklanicę i zawołał:

— Niech żyje nasza zmartwychpowstała! Niech żyje nasz „Biały kos!”

Marja kielich swój podniosła w górę, wszyscy się tręcali, a nawet Karol brzęknął zlekka. I w tej chwili zdawało mu się znów, że ona swoje obumarłe oczy zatapia w nim i spogląda w głąb jego duszy. Nawet brat Marji przybył i był ubrany bardzo elegancko; poczęstował Karola cygarem.

Ale najweselsza w całej kompanji była Ilka, której wielbiciel, młody, ale tłusty mężczyzna o wystraszonem ciągle obliczu, siadł naprzeciw niej i rozmawiał z ogromnem ożywieniem ze starą Ladenbauerową. Jedna tylko pani Jedek nie zdjęła swo

jego żółtego płaszcza i patrzyła w sam róg pokoju, gdzie doprawdy nic nie mogła zobaczyć. Od czasu do czasu podchodzili goście z innych stolików i życzenia swoje składali Marji. Ona odpowiadała, jak zwykle, po cichu, jak gdyby nic się nie stało.

Nagle zwróciła się Marja do Karola:

— Dlaczegoż jednak pan dzisiaj taki miłujący?

Teraz dopiero spostrzegł Karol, że dotąd nawet ust nie otworzył i to właśnie popchnęło go, że stał się bardziej ożywionym i brał udział w ogólnej rozmowie. Tylko do Marji nie rzekł ani słowa. Rebay opowiadał wtedy o tych pięknych czasach, kiedy dla Matrasa pisywał piękne kuplety, przytaczał treść jakiejś farsy, którą spłodził przed 35-ciu laty, sam pokazywał jak się to grało i ogromnie zabawił towarzystwo, gdy zaczął naśladować muzykanta czeskiego.

O godzinie 1-szej wstano od stołu i stara Ladenbauerowa podała ramię swojej córce. W około rozlegały się śmiechy, okrzyki, a jednak Karolowi dziwnie było na sercu. Nikt nie widział tutaj nic nadzwyczajnego w tem, że przed oczyma Marji „rozległy się ciemnie.”

Karol szedł tuż obok niej, a Ladenbauerowa zupełnie potocznie pytała go się o różne rzeczy, jak tam dzieje się w domu, jak się bawił w podróży i t. p.? Karol skwapliwie korzystał ze sposobności i plótł rozmaite historie o teatrach, estradach, kabaretach, które zwiedził i jednemu się tylko dziwił, że Marja, prowadzona przez matkę, idzie tak spokojnie i wesoło.

Weszli następnie do kawiarni w starym, dy-mem przesiąkniętym lokalu, pustym zupełnie o tej porze; ugaszczał tutaj całe towarzystwo gruby przyjaciel Ilki. Żgiełek i wrzask zapanował w towarzystwie, a Marja siedziała tuż obok niego i czuł

ciepło jej ciała, jak to nieraz bywało dawniej. I poczuł nagle, że Marja dotknęła się jego ręki i kilkakrotnie łagodnie ją pogłaskała, nie rzekłszy przy tem ani słowa. Jakże chętnie powiedziałby jej w tej chwili coś miłego, coś pocieszającego, — nie mógł się jednak zdobyć na to... Patrzył tylko na nią z boku i znów wydawało mu się, że czyta w jej oczach zamarłych. Nie były to jednak oczy ludzkie, tkwiło w nich coś odpychającego, coś takiego, co wzbudzało dreszcze, a czego poprzednio nigdy nie widywał u niej. Wstrząsnął się całym ciałem, jak gdyby ujrzał przy sobie upióra. Jej ręka zadrżała i usunęła się zlekka, przyczem Marja rzekła cicho:

— Dla czego się boisz? przecież jestem taka sama, jak dawniej.

Nie umiał nic na to odpowiedzieć, ażeby zaś zagłuszyć w sobie to uczucie, zaczął rozmowę z innymi towarzyszami zabawy.

Rozmawiano wesoło, gdy nagle rozległ się głos:

— Gdzież na Boga podziała się Marja?

Okrzyk ten wydała z siebie stara pani Ladenbauerowa. I dopiero teraz wszyscy spostrzegli, że dziewczę gdzieś zniknęło. Natychmiast też zaczęto wołać na wszystkie strony:

— Gdzie Marja? gdzie Marja?

Kilka osób zerwało się z miejsc, a stary Ladenbauer stanął u drzwi wejściowych do kawiarni i wołał w stronę ulicy:

— Marjo!

Zniknięcie to poruszyło wszystkich, mówiono, radzono bezładnie.

Ktoś rzekł:

— Jakże można było pozwolić, ażeby takie stworzenie mogło wstać z miejsca i odejść.

Na dziedzińcu zaczęto wołać:

— Przynieście świece!... Dajcie latarnie! —

A równocześnie posłyszano jęk: „Jezus Marja!”

Ten jęk wydała znów z siebie stara Ladenbauerowa.

Teraz już wszyscy przez kuchnię kawiarni wybiegli na podwórze.

Po przez dachy domów sąsiednich począł się zakradać świt...

Podwórze, przylegające do jednopiętrowego, starego domu okolone było gankiem drewnianym, na poręczy zaś jakiś człowiek bez surduta opierał się, wychylał i trzymał pochodnię w ręku, spoglądając na dół. Za nim ukazały się dwie kobiety w białych nocnych; ktoś inny biegł po skrzypiących schodach na dół. Wszystko to rzuciło się najpierw w oczy Karolowi... a potem coś zamajaczyło mu przed oczyma, ktoś uniósł biały szal koronkowy w górę i opuścił go na dół. Karol posłyszał około siebie głos:

— Tu już nic nie pomoże, przecież ona się wcale nie porusza...

Przyprowadźcie nareszcie doktora!... Dlaczego nie zawezwano pogotowia?... Policja!... Policja!...

Na okół szeptano, kilka osób wybiegło na ulicę, wzrok zaś Karola biegł szczególnie za jedną postacią. Była to wysoka, chuda Jedekowa w swoim płaszczu żółtym. Obiema rękami zrozpaczona przyciskała sobie skronie, a potem popędziła za innymi na ulicę i nie wróciła więcej. Karola parli naprzód ludzie i musiał się łokciami bronić, ażeby go nie wpechnięto na starą Ladenbauerową, która klęczała na ziemi, trzymając ręce Marji w swoim ręku, wstrząsała dziewczyną i krzychała:

— Przemów nareszcie... no! mów że coś!...

Nareszcie nadszedł z latarnią stróż domu w brunatnym szlafroku i pantoflach drewnianych. Latarnia rzuciła światło na oblicze Marji. Stróż pruczał:

— Nie! Tego rodzaju nieszczęście jest dziwne! Właśnie do studni musiała nadejść i tutaj wpaść głową naprzód.

Teraz dopiero Karol zaczął na dobre się rozglądać i spostrzegł, że Marja leżała wyciągnięta na bruku kamiennym, okalającym studnię.

Człowiek bez surduta mówił:

— Słyszałem jakieś stuknięcie nie dalej jak przed pięciu minutami.

Wszyscy spojrzeli na niego, on zaś powtórzył:

— Nie ma nawet jeszcze pięciu minut.

Karol posłyszał za sobą szept:

— Ależ, proszę pana, ten dom przecież znała dobrze; macając rękami, wyszła z kuchni na schody, później przechyliła się przez barjerę—to wszystko nie takie trudne do zrozumienia.

W ten sposób szeptano obok Karola, ale on nie rozpoznawał nawet głosów, chociaż z pewnością byli to jego znajomi; nawet się nie odwrócił.

Gdzieś w sąsiedztwie zapiał kogut, a Karolowi zdawało się, że to sen tylko. Stróż postawił latarnię na ocembrowaniu studni; stara Ladenbauerowa krzychała:

— Czyż ten doktor nadejdzie nareszcie?

Stary Ladenbauer podniósł głowę Marji w górę i światło, padające z latarni, oświetliło jej oblicze. Teraz spostrzegł Karol zupełnie wyraźnie, że nozdrza się poruszają, że wargi drżą, oczy zaś otwarte tak samo zdają się patrzeć na niego jak dawniej. Spostrzegł również, że to miejsce, na którym leżała poprzednio głowa Marji, mokre było i czerwone. Krzyknął: „Marjo! Marjo!” Nikt nie zważał na to i on sam nie słyszał nawet swojego głosu.

Ów człowiek na ganku stał jeszcze ciągle na swoim miejscu, przechylony po przez barjerę, owe

dwie kobiety stały również, jak gdyby przyglądało się to towarzystwo ciekawemu widowisku.

Pochodnia zgasła i wczesny świt fioletowy rozłożył się na podwórzu.

Stara Ladenbauerowa podłożyła pod głowę Marji zwinięty w rodzaj poduszki szal koronkowy; Karol stał bez ruchu i błędnym wzrokiem patrzył na to.

Robiło się coraz jaśniej na dworze i Karol widział teraz, że na obliczu Marji nie objawiają się już żadne drgania. Nie ruszała nozdrzami, wargami, i tylko krople krwi spadały jej ze skroni na rozwiane włosy, na usta, na szyję, a spadały wolno, zraszając bruk kamienny. Teraz wiedział już, że Marja umarła...

Karol otworzył oczy, jak gdyby chciał sen przykry odpedzić od siebie. Sam jeden już teraz siedział na ławce w alei i widział, jak kapelmistrz Rebay i narwany Jedek szybko uchodzili ulicą, którą razem szli niedawno. Ci dwaj ludzie wiedli jakąś gwałtowną rozmowę, wymachiwali rękami, wykonywali gwałtowne ruchy, a laseczka Jedeka wyglądała jak linja delikatna, zawieszona w powietrzu. Szli coraz szybciej, towarzyszył im kurz lekki, ale słowa, które mówili, ginęły, rozproszone wiatrem. W około w całym blasku słonecznym tonął piękny krajobraz, a tam na dole pływało w słońcu i drgało życiem miasto.

LIST PRZEDŚMIERTNY

Andrzeja Thameyera.

Stanowczo nie mogę żyć dłużej. Gdybym pozostał przy życiu, to ludzie drwiliby sobie ze mnie i nikt nie chciałby dowiedzieć się prawdy. A jednak tą prawdą jest, że żona moja była mi wierna. Przysięgam na wszystko, co mi jest święte i tę przysięgę pieczętuję śmiercią swoją. Przeczytałem wiele ksiązek w tej materji trudnej do rozjaśnienia i zagadkowej, przekonałem się też, że jeżeli są ludzie, którzy faktowi samemu w sobie przeczą, to również dobrze istnieją bardzo poważni uczeni, którzy o fakcie są przekonani. Zamierzam tutaj przytoczyć kilka przykładów, które każdemu człowiekowi bezstronnemu wydać się muszą dowodami niezbitymi. Tak np. opowiada Malebranche o pewnej kobiecie, która z okazji kanonizacji świętego Piusa z takim przejęciem patrzyła w obraz, że chłopiec, którego w krótko potem wydała na świat, najzupełniej podobny był do tego świętego. Co więcej nawet, oblicze dziecka miało zmęczone rysy twarzy starca, ręce miało skrzyżowane na piersiach, oczy zwrócone ku niebu, a w dodatku jeszcze na ramieniu po-

siadał znamię, przedstawiające zwieszającą się czapeczkę.

Komuby się jednak to opowiadanie, pomimo autorytetu świadka, tego następcy sławnego filozofa Kartezjusza, wydawało jeszcze niedostatecznie wiarogodne, to może wystarczy mu świadectwo Marcina Lutera. Luter (tak przynajmniej czytamy w jego mowach) znał w Wittenbergu pewnego obywatela, który miał trupią główkę i rzecz to była dowiedziona, że matka tego pożałowania godnego człowieka przestraszyła się ogromnie, ujrawszy trupa.

Najważniejszą jednak wydaje mi się historia, opowiedziana przez Heljodora w „*Libri aethiopicorum*”. Niema żadnego powodu poważnego do zaprzeczenia temu faktowi. Otóż podług tego cenionego autora, królowa Persina po dziesięcioletniem bezdzietnem małżeństwie obdarzyła króla Etiopów, Hydaspera białą córką, którą ze strachu przed spodziewanym gniewem męża, zaraz po urodzeniu kazala usunąć. Ale na drogę dała dziecku pasek, na którym opisany był powód tego niezwykłego wypadku. W ogrodzie okalającym pałac królewski, gdzie poczęła królowa w objęciach swojego czarnego małżonka, były wspaniałe posągi marmurowe bogów i bogiń greckich, i na te posągi zwróciła swoje oczy Persina w ekstazie miłosnej.

Potęga ducha sięga jednak dalej jeszcze i nie tylko ludzie zabobonni lub prostacy w to wierzą. Dowodzi tego następująca historia, która się przytrafiła w roku 1637-ym we Francji. Tutaj urodziła pewna kobieta chłopca po czteroletniej nieobecności swojego męża i przysięgała, że we właściwej porze śniła o mężu z takim ożywieniem, jakgdyby on był przy niej obecny. Lekarze i akuszerki w Montpellier uznali, że taki fakt jest mo-

żliwy, sąd zaś w Hawrze przyznał dziecku wszystkie prawa dziecka ślubnego.

U Hamberga w „Zagadkowych wypadkach w naturze”, na stronie 74-tej znajdujemy historję o pewnej kobiecie, która wydała na świat dziecko z głową lwa. Jak się okazało, kobieta ta w siódmym miesiącu stanu błogosławionego oglądała z mężem i matką produkcję poskromiciela lwów. Czytałem także inną opowieść, którą znaleźć można w książce Limbecka „O zapatrzeniu się kobiet” (Bazylea 1846 str. 19). Autor przytacza fakt urodzenia się dziecka z wielkiem znamieniem na wardze. Powód do tego dał ogień, któremu matka na kilka tygodni przedtem przyglądała się, rękę trzymając przy ustach. W książce tej znaleźć można jeszcze inne, nadzwyczaj ciekawe przykłady. W chwili gdy to piszę, książka ta leży przedemną na stole i przeglądałem jej karty, znajdując tu wiarogodne, naukowo stwierdzone dowody. Nie mniej wiarogodny jest fakt, który sam przeżyłem, albo raczej, który przeżyła moja żona, kobieta do ostatka wierna mi, na co klnę się, żyjąc jeszcze na świecie.

Czy przebaczysz mi teraz moja kochana żono, że pomimo to idę na śmierć? Musisz mi przebaczyć. Przecież ja umieram tylko z miłości dla ciebie, nie mogę bowiem znieść, ażeby ludzie wyśmiewać, wydrwiwać mieli mnie i ciebie. Teraz przestaną się śmiać, teraz zrozumieją wszystko, jak ja to rozumiem. Wiedziecie wy, którzy ten list znajdziecie na stole, że w tej chwili, kiedy to piszę, ona w przyległym obok pokoju śpi smacznie i spokojnie, jak tylko spać mogą ludzie, którzy mają czyste sumienie. I jej dziecko, nasze dziecko, które teraz liczy 14 dni życia, leży obok w kołysce i śpi również. Zanim ten dom opuszczę, pójdę do nich i nie budząc wcale, złożę pocałunek na ich skroniach.

Opisuję to wszystko tak dokładnie, ażeby czasami nikt nie pomyślał, że zawarowałem... Nie! wszystko rozważyłem sobie dobrze i jestem najzupełniej spokojny.

Gdy skończę pisanie tego listu, wyjdę z domu w późną noc na puste ulice i udam się coraz dalej tą samą drogą, którą tak często chodziłem z żoną moją w pierwszym roku po ślubie. Przejdę Dornbach i podążę jeszcze dalej, aż do lasu. Tak, wszystko to dobrze sobie ułożyłem i zmysły mam w zupełnym porządku.

A teraz posłuchajcie, o co mi chodzi:

Nazywam się Andrzej Thameyer, jestem urzędnikiem w austriackiej kasie oszczędności, mam lat 34, mieszkam przy głównej ulicy Hernalser № 64, żonaty od czterech lat. Żonę moją znałem siedm lat przed ślubem. Odrzuciła ona dwóch konkurentów, mnie bowiem tylko kochała i gotowa była czekać, dopóki nie ustalę sobie bytu. Konkurentami tymi byli: Komisarz z pensją 1800 reńskich, oraz bardzo przystojny student medycyny z Tryestu, zajmujący pokój u rodziców mojej żony. Proszę tylko zauważyć dobrze. Odrzuciła dwóch konkurentów dla mnie, chociaż niebyłem ani piękny, ani bogaty i ślub nasz z roku na rok musiał być odwlekany. I wobec tego śmia ludzie twierdzić, że kobieta, która siedm lat cierpliwie czekała na mnie, zdradzała mnie potem? Ludzie są głupi i ubodzy duchem, do głębi serc naszych nie umieją wejrzeć, cieszą się z cudzego nieszczęścia i wogóle są orłarni. Ale oni zamilkną teraz wszyscy, bo Teraz wszyscy będą musieli powiedzieć: „Złoty duchem, widzimy to teraz żona twoja była ci wierogóle niepotrzebnie odebrałaś sobie życie”. A ja wam na to odpowiadam: Właśnie, że to było potrzebne! Gdybym pozostał przy życiu, to drwilibyście dalej ze mnie wszyscy. Jeden tylko pomiędzy wami jest

człowiek dobry i szlachetny: stary doktor Walter Brauner. Ten człowiek, zanim jeszcze wprowadził mnie do pokoju, rzekł: „Mój kochany Thameyerze, niechaj się pan tylko nie wystraszy i nie wzrusza siebie i żony. Takie rzeczy przytrafiały się już często. Przyniosę panu jutro książkę Limbecka i inne traktujące „O zapatrzeniu się kobiet”.

Te książki leżą przedemną i najusilniej proszę krewnych moich, ażeby je z najgłębszem podziękowaniem oddali znakomitemu człowiekowi, doktorowi Braunerowi. Po za tem nie daję żadnych rozporządzeń. Testament napisałem dawno i nie mam żadnego powodu go zmieniać, gdyż żona była mi wierna, a to dziecko, którem mnie obdarzyła, jest mojem dzieckiem. Że zaś ma taki dziwny kolor skóry, to wytłomaczę w sposób najprostszy. Tylko złośliwość lub nieuctwo może niewierydę mojemu objaśnieniu, twierdząc, że gdybyśmy żyli nie pomiędzy złośliwymi i głupimi ludźmi, to każdy by to zrozumiał i ja mógłbym pozostać przy życiu. Ale w naszych warunkach ludzie albo się uśmiechają drwiąco, albo też śmieją prosto w oczy. Nawet pan Gustaw Rengelhold, wuj mojej żony, dla którego zawsze z największym byłem szacunkiem, w sposób bardzo mnie obrażający mrugał tylko oczami, gdy po raz pierwszy ujrzał moje dziecko. Nawet moja matka własna w dziwnie zdumiewający sposób ścisnęła moją rękę, jak gdybym potrzebował współczucia. Koledzy w biurze szepotali pomiędzy sobą, gdy wszedłem do pokoju, a stróż domu, którego dzieciom na gwiazdkę podarowałem mój stary psuty zegarek, wiedząc, że jako zabawka zawsze dła swoje usługi — stróż przygryzał wargi, a nie śmiać, gdy przechodziłem obok. Kucharka nasza taka jest wesola i rozbawiona, jak gdyby była pijana. Sklepikarz z rogu trzy czy cztery razy wybiegał przed drzwi i znacząco patrzył na mnie, a niedawno rzekł

do pewnej starej pani: „Oto on.” Jako dowód szybkiego roznoszenia najgłupszych nieraz plotek, posłużyć może fakt, że obcy ludzie, których wcale nie znam, wiedzą o wszystkim, przyglądają mi się znacząco, nie wiadomo dlaczego. Onegdaj wracając tramwajem do domu, słyszałem, jak trzy stare baby rozmawiały o mnie, imię moje nawet wymawiały jaknajdokładniej. Stałem wtedy na platformie. A teraz zapytuję się was na cały głos (Umyślnie to czynię, ten list mój bowiem tworzy dokument). — „Co mam robić? Co mi teraz pozostało? Przecież nie mogę każdemu powiedzieć: Przeczytaj sobie Hamberga „Dziwy natury” albo znakomite dzieło Limbecka „O zapatrzaniu się kobiet”. Przecież nie mogę ukłęknąć przed wami i błagać was: „Ludzie! nie bądźcież dla mnie tacy okrutni, zrozumiejcie, że żona moja zawsze była mi wierna!” Ona się tylko zapatrzyła, kiedy w sierpniu razem z siostrą poszły do ogrodu zoologicznego, gdzie ci niemili murzyni rozbili swoje namioty. Przysięgam, że ona się zapatrzyła, cała bowiem rzecz tak się miała:

Owego dnia, a właściwie jeszcze kilka dni przedtem, bawiłem u rodziców moich na wsi. Ojciec mój był chory, ciężko chory i rzeczywiście w kilka tygodni później umarł. Ale to nie należy do rzeczy. Otóż Anna pozostała sama i kiedy powróciłem ze wsi, to zastałem żonę moją w łóżku. Z tęsknoty, z niecierpliwości, a zresztą czy ja wiem dlaczego zachorowała!—Dość, że położyła się do łóżka. A przecież ja tylko przez trzy dni byłem nieobecny... Tak bardzo kochała mnie ta kobieta. Musiałem usiąść zaraz przy jej łóżku, ona zaś opowiadała mi, jak przepędziła te trzy dni. Nawet się jej nie pytałem, ona zaś opowiadała wszystko. Słowa jej notuję tutaj z konieczną w tym wypadku dokładnością, a więc: W poniedziałek cały czas przedpołudniowy pozostała w domu; po południu

poszła z Fritzi (w ten sposób pieśczośliwy, nazywamy jej siostrę niezamężną, Fryderykę) do mięsa, ażeby dokonać zakupów.

Fritzi jest zaręczona z dzielnym chłopakiem, który pracuje w Bremie w wielkim interesie handlowym. Ona pojedzie do Bremy, ażeby tam wziąć z nim ślub. Ale to jest rzecz poboczna, wiem o tem. We wtorek padał deszcz, i żona moja przez cały dzień pozostała w domu. U moich rodziców również tego dnia padał deszcz; przypominam to sobie jaknajdokładniej.

Nadeszła środa. Tego dnia wieczorem żona moja z Fritzi udały się do ogrodu zoologicznego, gdzie murzyni rozbili swoje namioty. Muszę tu dodać, że tych ludzi sam później widziałem, a mianowicie we wrześniu. Wówczas byliśmy tam z Rudolfem Bittnerem i jego żoną pewnej niedzieli wieczorem. Anna nie chciała pójść z nami, taki wstręt poczuła do murzynów od owej środy. Powiedziała mi wtedy, że nigdy w życiu nie przebiegł jej taki deszcz, jak wtedy, gdy wieczorem sama jedna znalazła się pomiędzy murzynami.

Tak jest! sama jedna, gdyż Fritzi zniknęła gdzieś nagle. O tym fakcie nie wolno mi zamilczeć, ale nie mówię co do Fritzi, ponieważ jest to mój list ostatni. Muszę jednak na tem miejscu zwrócić pierwsze moje ostrzeżenie dla Fritzi, ażeby narzeczony swojego nie martwiła, bardzo porządny bowiem ten człowiek mógłby z tego powodu być nieszczęśliwy. Niestety! fakt pozostaje faktem, że owego wieczoru Fritzi z panem... pocóż jednak będę wymieniał nazwisko tego pana, którego znam doskonale i o którym wiem, że nie najlepszą cieszę się opinią pomimo, iż jest żonaty!

Fritzi tedy gdzieś zawieruszyła się tego wieczoru. Moja żona pozostała nagle sama.

Wieczór był pochmurny, jak to się czasami zdarza o schyłku lata. Co do mnie, to nigdy wie-

czorem nie wychodzę do Prateru bez paltota i przypominam sobie, że często z łąk wydobywają się szare opady, w których nikną światła latarni. Taki to był wieczór w ową środę, gdy Fritzi zniknęła nagle i gdy moja żona naraz została sama. Któż nie zrozumie, że w tych okolicznościach niezwykły dreszcz przebiegł ciałem tej kobiety, gdy przed sobą ujrzała olbrzymów z iskrzącymi się oczyma i wielkimi, czarnymi brodami?...

Przez dwie godziny czekała na Fritzi, ciągle się pocieszając, że siostra powróci; w końcu jednak zamykać poczęto bramy i Anna musiała wyjść z ogrodu.

Tak było!... Wszystko to opowiedziała mi Anna, gdy po powrocie rano, jak to już powiedziałem, usiadłem przy jej łóżku. Rękami objęła mi szyję i drżała. Oczy jej były mętne zupełnie i mnie samego strach ogarnął. Owego dnia nie jeszcze nie wiedziałem o zapatrzeniach się kobiet, ona zaś również nic nie wiedziała. Ba! gdybym wiedział, że ona już przyszłe dziecię nasze nosi w swoim łonie, to nigdy nie pozwoliłbym na to, ażeby w dzień pochmurny udawała się z Fritzi do Prateru, i miała być narażona na różne niebezpieczeństwa. Dla kobiety w takim stanie wszystko przedstawia niebezpieczeństwo. Rzecz naturalna, że gdyby Fritzi nie było gdzieś się zawierużyło, to żona moja nigdy nie byłaby wystawiona na taki przestrah, jakiego musiała doznać. Ale to właśnie tworzy owo wielkie nieszczęście, że ona pozostała sama i drżała na myśl, iż Fritzi przytrafić się mogło jakieś nieszczęście...

Teraz minęło już wszystko i na nikogo nie rzucam kamieniem. Musiałem jednak rozpisnąć się obszerniej, ażeby rzecz całą przedstawić zupełnie jasno. Gdybym tego nie uczynił, to kto wie czy nędzni ludzie nie powiedzieliby może: Po-

zbawił się życia dla tego, że był oszukiwanym przez żonę...

O nie! Raz jeszcze powiadam wam nędznicy, że żona moja zawsze była mi wierną, a to dziecko, które wydała na świat jest mojem dzieckiem! Kocham ich oboje aż do ostatniego tchnienia mojego życia. Wy mnie tylko zmuszacie do tego, że rzucam się w objęcia śmierci, wy, którzy jesteście ubodzy duchem, złośliwi, przewrotni, którzy nie chcecie nic zrozumieć i w nic wierzyć. Wiem o tem, że im więcej mówiłbym do was, im więcej starałbym się ten wypadek wytłómaczyć naukowo, tem więcej drwilibyście, śmieli może nawet nie wprost w oczy, albo za moimi plecami. Albo znów powiedzielibyście: „Ten Thameyer zwarzjował”.

Tej radości nie będziecie mieli, moi drodzy. Umieram za swoje przekonania, za prawdę i przede wszystkim za honor mojej żony. Z chwilą, gdy już będę trupem, przestaniecie wydrwiwać moją żonę, przestaniecie naśmiewać się ze mnie; wtedy też przekonacie się, że takie wypadki się zdarzają, jak o tem piszą: Hamberg, Heljodor, Malbranche, Welenburg, Prenes, Limbeck i wielu innych.

I ty, droga matko, zaiste, dla czego ścisłałaś mi tak rękę, jak gdybym godny był współczucia? Ty, matko — wiem o tem dobrze — będziesz prosiła żonę moją o przebaczenie...

Zdaje mi się, że już nic więcej nie mam do powiedzenia. Biję godzina 1-sza. Dobranoc, moi najdrożsi.

Teraz pójdę jeszcze do pokoju sypialnego i poraz ostatni ucałuję żonę moją i dziecko. Potem się oddalę.

Bywajcie zdrowi...

Przepowiednia.

I

W pobliżu Bozen na niewielkiem wzgórzu, zapadniętem w lesie niewidocznem z drogi, leży mała posiadłość barona Schollenga. Jeden z moich przyjaciół, który od dziesięciu lat mieszka w Meranie i którego w jesieni znów spotkałem, zapoznał mnie z baronem. Mąż ten miał wówczas lat 50 i był dyletantem w różnych dziedzinach sztuki. Komponował potroszę, dobrze grał na skrzypcach i na fortepianie, a rysował wcale nieźle. Najpoważniej jednak za młodych lat swoich traktował sztukę dramatyczną i, jak mówiono, bardzo młodym chłopcem będąc, pod przybranem nazwiskiem włóczył się z małemi trupami artystów po kraju. Czy nieprzezwyciężony opór ojca, czy uzdolnienie niedostateczne, czy wreszcie poprostu porzucił tę karierę, ażeby bez opóźnienia wstąpić na służbę państwową, naśladując pod tym względem przykład swoich przodków. Kilkanaście lat strawił jako urzędnik, nie zapalając się jednak wcale do tego zawodu. Gdy jednak zaraz po śmierci ojca swojego, mając lat nie wiele po nad 40-ci, opuścił urząd, to dopiero wtedy okazało się

z jaką lubością zwracał się do swoich snów młodzińczych. Willę swoją u podnóża góry urządził odpowiednio i zawsze latem i w jesieni gromadził tutaj coraz większe koło pań i panów, gotowych przedstawiać łatwe sztuki teatralne i występować w żywych obrazach.

Pani baronowa, pochodząca ze starej, tyrolskiej rodziny mieszczańskiej nie bardzo wprawdzie przejmowała się temi sztukami, ale zanadto była mądra i zanadto przywiązana do męża, ażeby miała mu przeszkadzać. Słabostce barona przyglądała się z pewną ironją, ta ironja jednak była tak dobroduszną, że mąż nie spostrzegał tego, a nawet sądził, iż ona wczuwa się w jego zapal.

Towarzystwo, które się zbierało na zamku, mogło się wydawać surowym sędziom nie dość wybredne, ale przecież wiadoma rzecz, że nawet ludzie, wysokiego urodzenia i stanowiska nie gorszą się nawet tem, gdy znajdują się w koku, gdzie nie ma żadnego krępowania. Zresztą zamiłowanie do sztuki usprawiedliwia wiele, samo zaś nazwisko i dobre imię baronowstwa, nie dopuszczało nawet do żadnych podejrzeń pod względem oby czajności.

Pomiędzy wielu innymi gośćmi, których nazwisk już nawet nie pamiętam, spotkałem w zamku barona pewnego młodego hrabiego, urzędującego w komisarjacie krajowym w Innsbrucku; dalej pamiętam oficera pułku strzelców z Rivy, kapitana sztabu generalnego z żoną i z córką, śpiewaczką operetkową z Berlina, fabrykanta likierów z dwoma synami, barona Mendolta, który świeżo powrócił z podróży naokoło świata, dymisjonowanego aktora nadwornego z Bückeburgu, wdowę hrabinę Saïma, która jako dziewczę była aktorką, a teraz zjawiała się z córką; wreszcie znajdował tu się także malarz duński Petersen.

W samej willi nie wiele mieszkało osób; część

uloowała się w Bozen, inni obrali jako siedzibę skromną oberżę, która stała przy zbiegu dwóch dróg, w miejscu, gdzie węższa droga odłączała się od wsi. Pomimo to, przeważnie już w pierwszych godzinach poobiednich, zbierało się całe kółko na górze i odrazu rozpoczynano próby sztuk rozmaitych. Czasami próbami temi kierował ów dymisjonowany aktor, czasami zaś sam baron, który jednak nigdy nie brał udziału w przedstawieniach. Takie próby rozpoczynały się żartami i śmiechem, później jednak traktowano je najzupełniej poważnie, a trwały najczęściej do późnego wieczora, kończąc się w przeddzień przedstawienia. Stosownie do humoru, lub terenu, na którym akcja się rozgrywa, do przedstawień obierano albo łąkę graniczącą z lasem poza ogródkiem zamkowym, albo też salę w zamku, parterową, o trzech oknach lukowych.

Przybywszy po raz pierwszy do barona, miałem tylko zamiar przepędzić wesoło dzień na nowym miejscu i wśród nowych ludzi. Ale, jakto zwykle bywa, gdy człowiek bez celu używa w życiu zupełnej wolności, gdy młodość znika, a żadne stosunki nas nie wzywają do ojczyzny, zabawiłem u barona dłużej. Z jednego dnia zrobił się drugi, potem trzeci i w końcu ku wielkiemu zdumieniu swojemu spostrzegłem, że aż do jesieni zabawiłem w zamku, gdzie na mieszkanie przeznaczono mi małą wieżyczkę z pięknym widokiem na dolinę. Ten pierwszy pobyt pozostanie mi zawsze miłym wspomnieniem, pomimo, że wokoło mnie zawsze w życiu było wesoło i gwarno. Na zamku barona panowała cisza, z gośćmi widywałem się tylko w przelocie, większą zaś część dnia przepędzałem na pracy, rozmyślaniach i przechadzkach w pustym lesie. Nawet ta okoliczność, że uprzejmy baron kazał przedstawić jedną z moich małych sztuk, nie zamąciła mi ciszy, nikt bowiem nie

zwracał na mnie uwagi, jako na autora. Przeciwnie nawet ten wieczór, gdy sztukę moją przedstawiano na łące zielonej pod gołym niebem, wydał mi się snem, przypominającym moje lata młode.

Ku jesieni zmniejszać się zaczął ruch na zamku, urlopy panów się kończyły i tylko czasami ktoś z blizkich sąsiadów przybył w odwiedzinę. Dopiero też teraz mogłem wejść w bliższe stosunki z baronem i ku miłemu zdziwieniu mojemu spostrzegłem, że baron posiadał daleko więcej skromności, niż to u dyletantów jest w zwyczaju. Nie ludził się wcale, że przedstawienia na zamku są wysokim wyrazem sztuki, uważał je raczej za uszlachetniony sposób zabawy towarzyskiej.

Ponieważ w ciągu jego życia nie było mu dane stale i poważnie być kapłanem ukochanej sztuki, więc przynajmniej poprzestawał na tej uludzie, na tej niewinnej zabawce i cieszył się, że tutaj nie zakrada się nic takiego, co jest ogromnie nędzne wtedy, gdy sztukę uprawiać trzeba zawodowo. Baron zadowolony był z tego, że nic, co nędzotą zawodowości pachnie, nie rzucało tutaj nawet cienia na te produkcje artystyczne.

Pewnego dnia na przechadzce, nie narzucając mi się wcale ze swoim pomysłem, rzekł, że pragnął by raz ujrzeć sztukę tak napisaną, ażeby treść jej odpowiadała nieograniczoności pola i otoczeniu natury. Ponieważ ten pomysł od pewnego czasu miałem również w głowie, więc przyrzekłem baronowi, że spełnię jego życzenia.

Wkrótce potem opuściłem zamek.

W pierwszych dniach następnej wiosny, przypominając baronowi miłe chwile, przebyte w jego domu, posłałem mu sztukę, która powinna odpowiadać jego projektowi. Niezadługo otrzymałem list, w którym hrabia wyrażał podziękowanie i zapraszał mnie na przyszłą jesień do siebie. Lato

przepędziłem w górach i w pierwszych dniach września, gdy już robić się zaczęło chłodno, udałem się nad jezioro Garda, nie myśląc nawet o tem, że znajdować się będę w pobliżu zamku barona Szollego.

Wydaje mi się dzisiaj, że w owym czasie zapomniałem nawet zupełnie o tym małym zamczku i o panującym w nim życiu. Nagle otrzymałem dnia 8-go września odesłany mi z Wiednia list barona. W liście tym wyrażone było łagodnie zdziwienie, że nie daję o sobie wcale znaku życia, równocześnie zaś zawiadamiał mnie baron, że ta mała sztuczka, którą mu na wiosnę posłałem, będzie przedstawiona w dniu 9-tym września, i że moja obecność byłaby bardzo pożądana.

Szczególniej zabawne miały być dzieci, które do sztuki wprowadziłem. Mali przedstawiciele ogromnie byli zadowoleni ze swoich kostjumów malowniczych, z którymi nie chcieli się rozłączać, nawet po próbach, w których różne gry urządzali na łące.

„Główna rola—pisał dalej baron—po różnych przejściach, dostała się w ręce mojego siostrzeńca, pana Franciszka Umprechta, który, jak sobie pan zapewne przypomina, w roku ubiegłym zaledwie dwa razy wystąpił w żywych obrazach, a który, jako aktor, obecnie wykazuje talent zdumiewający”.

Rzecz naturalna, że wyjechałem natychmiast, wieczorem już byłem w Bozen, a w dzień przedstawienia stawilem się w zamku, gdzie baron i jego żona przyjęli mnie uprzejmie. Znalazło się tu więcej znajomych: dymisjonowany aktor nadworny, hrabia Saima z córką, pan Umprecht z piękną żoną, oraz 14-letni syn leśniczego. Wszyscy oni odegrać mieli prolog mojej sztuki. Na porę popołudniową oczekiwano znacznej liczby gości, wieczorem zaś spodziewano się więcej, niż stu widzów.

Nie tylko przyjaciele osobiści barona, ale nawet ludzie z całej okolicy przybyć mieli na przedstawienie, które dla wszystkich było dostępne. Oprócz tego baron tym razem zamówił małą orkiestrę, złożoną z muzykantów zawodowych z Bozen i kilku dyletantów. Orkiestra odegrać miała, na wstępie uwerturę Webera, w międzyaktach zaś wykonywać utwory, które skomponował sam baron.

Przy obiedzie bardzo było wszystkim wesoło i tylko pan Umprecht wydawał mi się więcej milczący od innych. Z początku nie zwracałem na niego uwagi, ale później zauważyłem, że często spogląda w moją stronę, a we wzroku jego czasami było dużo sympatji, czasami zaś bojaźliwie patrzył na mnie. Nie przemówił do mnie ani jednego słowa.

Zaczynałem sobie przypominać tę twarz i rzeczywiście przypomniałem sobie, że w przeszłym roku, w jednym z żywych obrazów, w ubraniu mnicha, z podniesionemi w górę ramionami, siedział nad szachownicą. Zapytałem go wtedy, czy mnie sobie również przypomina. Prawie zażenował się, gdy się do niego z tem zwróciłem, odpowiedział też za niego baron, który równocześnie z uśmiechem zauważył, iż w swoim siostrzeńcu odkrył duży talent aktorski. Wtedy pan Umprecht zaczął się śmiać w jakiś dziwny sposób i spojrział na mnie takim wzrokiem, jak gdyby chciał tem zaznaczyć, że porozumieliśmy się pomiędzy sobą.

Tego spojrzenia nie rozumiałem i nie mogłem go sobie wytłómaczyć, to tylko jest pewne, że od-tąd starał się, ażeby oczy nasze nie spotkały się z sobą więcej.

II.

Wkrótce po obiedzie udałem się do swojego pokoju i stanąłem przed otwartem oknem, jak to nieraz robiłem zeszłego roku, rozkoszując się wi-

dokiem doliny, tonącej w słońcu, a leżącej u nóg moich i rozszerzającej się gdzieś dalej, ażeby ogarnąć sobą miasto i osady okoliczne.

Stałem tak zapatrzony, gdy ktoś zapukał do drzwi i do pokoju wszedł pan Umprecht, a stanawszy przy progu, rzekł z pewnem zakłopotaniem:

— Przepraszam, że panu przeszkadzam.

Poprosiłem go bliżej, on zaś mówił dalej:

— Jestem pewny, że pan mi wybaczy to naręctwo, jeżeli poświęcisz mi choćby z kwadrans czasu.

Wskazałem panu Umprechtowi krzesło, on zaś wcale nie zwracał na to uwagi i mówił z wielkiem ożywieniem:

— W najoryginalniejszy w świecie sposób stałem się dłużnikiem pańskim i czuję się w obowiązku podziękować panu za to.

Nie umiałem sobie tych słów inaczej wytłumaczyć, jak tylko tem, że z roli swojej w sztuce był bardzo zadowolony, sposób jednak wyrażania tej wdzięczności wydał mi się zanadto grzeczny i dla tego próbowałem bronić się od podziękowań. Umprecht przerwał mi jednak natychmiast:

— Pan nie może wiedzieć, do czego się odnoszą moje słowa, racz przeto posłuchać.

Usiadł na parapecie okna, nogę założył na nogę i starając się w sposób widoczny, ażeby mi się przedstawić, jako człowiek zupełnie spokojny, zaczął mówić:

— Może to panu wiadomo, że obecnie jestem gospodarzem i obywatelem ziemskim, ale tego panu zapewne nie wiadomo, że przedtem byłem oficerem. Otóż za owych czasów oficerskich, mija temu właśnie dzisiaj lat 10, wydarzył mi się ów niepojęty wypadek, pod którego wrażeniem do pewnego stopnia żyłem aż do dnia dzisiejszego, a któ-

ry dziś dopiero dzięki panu, chociaż bez woli pana, znalazł swoje zakończenie. Pomiędzy nami dwoma istnieje bowiem jakiś dziwny związek demoniczny, którego zapewne pan, podobnie do mnie, nie może sobie wytłumaczyć. Niechajże się przeto pan dowie przynajmniej o tem, że naprawdę taki związek istnieje.

— Przed dziesięciu laty pułk mój stał w jednym z miasteczek galicyjskich, w zapadłym kącie polskim. Jedyne rozrywki tworzyła służba, niezawsze zbyt uciążliwa, pijaństwo i karty. Oprócz tego człowiek mógł się spodziewać, że lata całe będzie tu musiał wegetować, nie wszyscy zaś z nas z obojętnością przyjmowali takie życie beznadziejne. Jeden z najlepszych przyjaciół moich już w trzecim miesiącu pobytu naszego w tej dziurze odebrał sobie życie. Inny kolega, poprzednio najmilszy w świecie człowiek, zaczął pić na zabój, stał się niezdolny w towarzystwie, wybuchał przy lada sposobności, prosto był nieczytelny, i w tym stanie nieczytelności miał awanturę z pewnym adwokatem, dzięki której wystąpić musiał z pułku. Kapitan nasz był człowiekiem żonatym i bardzo zazdrosnym o żonę swoją, i nie wiem, czy miał powód ku temu, czy też go nie miał, dość, że pewnego dnia żonę swoją wyrzucił przez okno. Zagadkowym prawdziwie sposobem kobieta wyszła cało, ale mąż umarł w zakładzie dla obłąkanych. Jeden z naszych chorążych, młodzieniec bardzo sympatyczny, ale wyjątkowo głupi, wyobraził sobie nagle, że wszystkie pojadł rozumy, studjował Kanta i Hegla, całych ustępów z ich dzieł uczył się na pamięć, jak się uczył dzieci elementarza. Co się mnie dotyczy, to tylko nudziłem się w tak przeraźliwy sposób, że nieraz po południu, leżąc na łóżku, obawiałem się, ażebym nie zwarjował.

— Koszary nasze znajdowały się poza wsią, składającą się z najwyżej 30-tu chat rozrzuconych

przy drodze, najbliższe zaś miasteczko leżało o dobrą godzinę drogi, a zresztą było to miasteczko brudne, wstrętne, cuchnące i pełne żydów. Nieraz z potrzeby musieliśmy mieć stosunki z nimi—właściciel hotelu bowiem był żyd, właściciel kawiarni—żyd, krawiec—żyd, szewc—żyd. Może pan sobie wyobrazić, że w obec nich zachowywaliśmy się w sposób wprost grubiański. Szczególniej źle usposobiło nas względem żydów to, że jeden z książąt, którego jako majora przydzielono do naszego pułku—czy to z żartów, czy też z istotnego przekonania, z nadzwyczajną uprzejmością odpowiadał na pozdrowienie żydów i w sposób wprost rażący protegował naszego lekarza pułkowego, który najwidoczniej pochodził z żydów.

— Nie opowiadał bym panu tego wszystkiego, gdyby nie ta okoliczność, że dzięki fantazji owego księcia, spotkałem człowieka, który w taki tajemniczy sposób przeznaczony był na to, ażeby pomiędzy nami, to jest pomiędzy mną a panem, nawiązać stosunek duchowy. Tym człowiekiem był pewien sztukmistrz, syn żyda, sprzedającego wódkę w pobliższym miasteczku. Jako młody chłopiec dostał się ów żydek do pewnego handlu we Lwowie, później był w Wiedniu i podpatrzył, jak to się robi sztuki żonglerskie. Przy sprycie wrodzonym zaczął się sam dalej kształcić, przyswoił sobie jeszcze wiele innych sztuk, i zwolna doszedł do tego, że puścił się na wędrowkę po świecie, występował w różnych teatrzykach i bawił udatnie publiczność. Na lato powracał zawsze do swego miasta rodzinnego, ażeby odwiedzić rodziców, ale tutaj nigdy nie występował publicznie, i poraz pierwszy spotkałem go na ulicy, gdzie sama jego postać oryginalna odrazu wpadła mi w oko. Mógł mieć wówczas lat około 30, chudy, niski, wygolony, ubrany ze śmieszną elegancją, przechadzał się w czarnym surducie i wzorowo odprasowanym cylindrze po

ulicach, odsłaniając kamizelkę o krzyżujących barwach. Gdy go raził blask słoneczny, wtedy na nos zakładał binokle o ciemnych szklach.

— Pewnego razu, jak zwykle po kolacji, siedzieliśmy w kasynie przy podłużnym stole, a było nas wtedy osób piętnaście albo szesnaście, noc ciemna, powietrze duszne, więc też otworzyliśmy okna. Niektórzy z kolegów rozpoczęli grę, inni oparli się o okna i gawędzili, inni wreszcie pili i zaciągali się dymem w milczeniu. Nagle wszedł kapral dyżurny i zaraportował, że przybył sztukmistrz z małego miasteczka.

Z początku zadziwiliśmy się po trosze, ale nie było nawet czasu na odpowiedź, gdy do pokoju wszedł sam sztukmistrz we własnej swojej osobie, a wypowiedziawszy w lekkim żargonie kilka słów wstępnych, podziękował z góry za użyczenie mu gościny. Najpierw zwrócił się do księcia, który, najwyraźniej, ażeby nas rozgniewać, ostentacyjnie ścisnął rękę przybyłemu. Sztukmistrz przyjął to jako rzecz naturalną i rzekł, że najpierw pokaże nam kilka sztuk z kartami, a później wystąpi z produkcjami magnetyzmu i chiromancji. Jeszcze nie dopowiedział tego do końca, gdy kilku panów grających w karty, zauważyło, że im w talji brakuje kilku figur. Nasz czarodziej dał znak i karty przyfrunęły napowrót na stół przez otwarte okno. Zaciekawieni już teraz przyglądaliśmy się dalszym sztukom, które nas bardzo zajęły i przekraczały miarę tego, co już widziałem kilkakrotnie poprzednio. Jeszcze oryginalniejsze wydały mi się eksperymenty magnetyczne, które zaprodukował nam następnie. Nie bez wzruszenia patrzeliśmy na to, gdy wiecznie filozofujący chorąży, w sen pogrążony, spełniając wszystkie rozkazy czarodzieja, najpierw wyskoczył przez otwarte okno, potem piął się w górę po gładkim murze aż do dachu, obiegać zaczął przy samej krawędzi ten dach i wresz-

cie spuścił się na dół na podwórze. Kiedy nasz chorąży był już na dole, ale ciągle jeszcze uspio-ny, rzekł pułkownik:

— Panie, gdyby ten ozłowiek spadł był z da-chu i kark sobie skrecił, to przysięgam ci, że ży-wo nie wyszedłbyś z naszych koszar.

Nie zapomnę nigdy tego spojrzenia pełnego pogardy, jakim obrzucił żyd mówiącego, nie wy-rzekłszy przy tem ani słowa. Dopiero po chwili wymówił wolno:

— Czy może przepowiedzieć panu z ręki, pa-nie pułkowniku, kiedy *pan*, żywy lub umarły, opuś-cisz te koszary?

Sam nie wiem, co w innych okolicznościach odpowiedziałby pułkownik i my wszyscy na tego rodzaju bezczelne zapytanie, teraz jednak nastrój ogólny był taki, że nikt nie zadziwił się nawet, gdy pułkownik podał swoją rękę sztukmistrzowi i naśladując jego żargonowy sposób mówienia, rzekł:

— No, to przeczytaj pan z mojej ręki.

Wszystko to działo się na podwórzu, gdzie nasz chorąży, ciągle jeszcze znajdujący się w sta-nie uspienia, stał przy ścianie z rozłożonymi rękami, jak gdyby przybity do krzyża. Kuglarz uchwycił rękę pułkownika i z wielką uwagą badać za-czął kierunek linji na dłoni.

— Czy już dosyć zobaczyłeś, żydzie?—zapy-tał zniecierpliwiony i trochę pijany jeden z poru-czników.

Sztukmistrz obejrzał się tylko i odparł po-ważnie:

— Jako artysta, noszę nazwisko: „Marco Pollo.”

W tej chwili książkę położył żydowi rękę na ramieniu i rzekł:

— Mój przyjaciel Marco Pollo ma wzrok bar-dzo bystry.

— Cóż zatem widzi? — łagodniej już zapytał pułkownik.

— Czyż koniecznie mam to powiedzieć? — rzucił Marco Pollo.

— Proszę mówić—zawołał pułkownik.

— Wolałbym nie mówić.

Pułkownik wybuchnął śmiechem.

— Śmiało, przecież to nie będzie nic strasz-nego. A zresztą, gdyby miało być coś straszego, to jeszcze nie koniecznie ma to być prawda.

— A jednak będzie to coś naprawdę strasz-nego i... i prawdą będzie.

— Zimno nie da się panu wcale we znaki — zaczął mówić Marco Pollo, ale pułkownik mu przerwał:

— Co to ma znaczyć? Czyżby pułk nasz nareszcie miał być przeniesiony do Rivy?

— O pułku żadnych tutaj nie widzę wska-zówek, panie pułkowniku, to tylko widzę, że na jesień będzie pan już trupem.

— Pułkownik śmiał się głośno, my jednak wszyscy zamikliśmy odrazu i zapewniam pana, że doznawałem takiego uczucia, jak gdyby w tej chwili pułkownika skazywano na śmierć. Ciska stawała się niemila i któryś z nas umyślnie roześ-miał się głośno, inni mu zawtórowali i gwar, we-sołość zapanowały na nowo w naszym kasynie.

— Co do mnie—rzekł pułkownik—rzecz cała już jest w porządku, ale czy nikt z panów nie jest ciekawy swojej przyszłości?

Jeden z oficerów rzekł żartem:

— Nie pragniemy niczego się dowiedzieć.

Inny zauważył, że względ na uczucia religijne powinien ludziom zabronić korzystania z wróżbia-ry. Jeszcze inny, młody oficer oświadczył, że te-go rodzaju ludzie, jak Marco Pollo, nie powinni chodzić wolno po świecie, lecz przez całe życie siedzieć w więzieniu. Książkę usiadł sobie w rogu

pokoju, rozmawiał z jednym ze starszych panów i słyszałem, gdy mówił:

— Gdzież więc cud każdy się zaczyna?

Wtedy podszedłem do Marco Pollo, który już chciał odejść, i cicho, ażeby nikt nas nie słyszał, rzekłem:

— Niech mnie pan wróży.

Prawie mechanicznie wziął moją rękę w swoją i przyjrzał się trochę, rzekł:

— Tutaj źle widać.

Rzeczywiście zauważyłem, że lampy olejne migotać zaczęły, a ręka moja drżała.

— Wyjdźmy na podwórze, panie poruczniku—rzekł Marco Pollo—wołę światło księżycowe—i trzymając mnie za rękę, przez otwarte drzwi wyprowadził na powietrze.

Nagle dziwna myśl przyszła mi do głowy.

— Panie — rzekłem — jeżeli nic więcej nie umiesz nad to, czego dokonałeś z naszym pułkownikiem, to lepiej dajmy temu pokój.

Marco Pollo puścił moją rękę i uśmiechnął się ironicznie:

— Widzę, że pan porucznik się lęka.

Obejrzałem się szybko w około, czy nas ktoś nie podgląda i nie podsłuchuje. Nie było o to jednak obawy, znajdowaliśmy się bowiem już wtedy po za obszarem koszar na ulicy, wiodącej do miasta.

— Nie sądz pan, że się boję — rzekłem — chciałbym jednak wiedzieć coś pewniejszego, nie takie ogólne rzeczy, jak te, które pan wypowiedział pułkownikowi. Tego rodzaju słowa można sobie zawsze wytłumaczyć w najrozmaitszy sposób.

Marco Pollo spojrzał na mnie uważnie.

— Więc czego sobie pan porucznik życzy? Może mam mu przedstawić jak będzie wyglądała przyszła żona pana?

— Czyżby to pan potrafił?

Marco Pollo wzruszył ramionami.

— Może... Sprobuje... Czasami się udaje.

— Nie, tego nie chcę, wolałbym się dowiedzieć, co np. stanie się ze mną później, dajmy na to, za lat dziesięć?

Marco Pollo pokiwał głową:

Tego nie mogę powiedzieć... ale może coś innego? Jakiś wypadek w przyszłym życiu pańskim przewidzieć mogę bardzo dokładnie.

Zrazu nie pojąłem, co mają znaczyć te słowa i zapytałem się go, jak on to rozumie.

— Czarodziejską sztuką moją—odparł—mogę już teraz przewidzieć wypadek, który się wydarzy panu w innej okolicy. Niechaj mi tylko pan porucznik powie, jaki to ma być wypadek?

Nie zrozumiałem go dobrze, że jednak byłem bardzo zaciekawiony, więc rzekłem:

— A zatem dobrze. Jeżeli pan potrafi patrzeć w przyszłość, to niech mi pan powie, co się stanie ze mną w tej samej sekundzie za lat dziesięć? Czy mnie pan zrozumiał?

— Zrozumiałem panie poruczniku — odparł i bystro wpatrzył się we mnie.

I nagle zniknął z przed moich oczu... ale wraz z nim zniknęły również z przed moich oczu koszary i kasyno, które przed chwilą widziałem oblane światłem księżyca, zniknęły wszystkie chałupy wiejskie, rozrzucone w około — i pozostałem sam, taki bardzo sam, jakim nie raz widziałem się tylko we śnie. Zdawało mi się, że postarzałem się o lat dziesięć, że wyrosła mi ciemna, gęsta broda, że miałem bliznę na skroni, że leżałem pośrodku łąki na noszach, że przy mnie klęczała bardzo piękna kobieta z czerwonymi włosami, że ręką zakrywała sobie twarz, że oprócz niej znajdował się przy mnie chłopiec mały i dziewczę, a w oddali widzia-

łem las i dwóch strzelców z pochodniami w pobliżu...

Zadziwia to pana... Prawda? Ale to każdego może zadziwić.

Rzeczywiście byłem zdumiony, to bowiem, co on mi w tej chwili opowiadał, było najdokładniejszą treścią sztuki mojej, która o godzinie 10-tej miała się zakończyć, a w której on odgrywać miał umierającego bohatera.

— Może pan powątpiewa?—ciągnął dalej pan Umprecht—ale wcale nie myślę brać panu tego za złe. Dla rozwiania pańskich powątpiewań, przedstawię panu jeszcze jeden dowód.

Sięgnął do kieszeni surduta i wydobyl zapieczętowaną kopertę.

— Proszę, niech pan zobaczy co tu napisano na stronie odwrotnej.

Przeczytałem głośno: „Na podstawie aktu rejentalnego zapieczętowano tę kopertę w dniu 4-tym stycznia 1859 roku; ma być otwarta w dniu 9 września 1868 roku.” Następował podpis doskonale mi osobiście znanego notariusza d-ra Artinera w Wiedniu.

— To dziś właśnie — rzekł pan Umprecht.— Dziś właśnie mija 10 lat od chwili, gdy mi się zdarzył ów tajemniczy wypadek i Marco Pollo objawił swoją przepowiednię, która teraz w oryginalny wielce sposób znalazła swoje wytłumaczenie. Z roku na rok, jak gdyby siła wyższa igrała sobie z moim losem, spodziewałem się rozwiązania zagadki w najoryginalniejszy nawet sposób. Czasami zdawało mi się, że coś zagraża mojemu życiu, czasami te obawy rozpraszały się nagle. I tak ciągle, raz niezachwiana pewność, że zginę marnie, to znów nadzieja życia.

— Powróćmy jednak do dalszego ciągu opowiadania mojego. Otóż najprawdopodobniej całe to zjawisko, wywołane przez Marca Pollo nie trwa-

ło dłużej nad jedno mgnienie oka, jeszcze bowiem w uszach brzmiał mi śmiech głośny porucznika, gdy zjawisko znikło. A wtedy znów stał przedemną Marco Pollo, z lekkim uśmiechem na ustach i zdjawszy cylinder z głowy, rzekł z pewnym bolesnym, czy też może drwiącym tylko odcieniem w głosie:

— Dobry wieczór panu, panie poruczniku, mam nadzieję, że pan jest zadowolony ze mnie.

Następnie odwrócił się i wolno gościńcem skierował się do miasta. Nazajutrz wyjechał.

Pierwszą myślą moją, gdy powracałem do koszar, było, że w tym wypadku ukazało mi się widmo, które wywołał Marco Pollo, prawdopodobnie przy pomocy jakiegoś uczucia swojego i sztuk kulgarskich. Zadumany wszedłem na podwórze koszarowe i ku mojemu przerażeniu spostrzegłem, że kadet, ciągle jeszcze przyparty do muru, stoi, jak gdyby był ukrzyżowany. Zapomniano o nim zupełnie, a inni towarzysze we wzburzeniu wielkiem rozmawiali z sobą, sprzeczali się, gestykulowali. Schwyciłem chorążego za rękę, a on natychmiast się przebudził, bynajmniej nie zdziwiony, ale nie umiejący sobie wytłumaczyć, dlaczego tamci kole-dzy nasi są tacy wzburzeni. Natychmiast wniósłem się do rozmowy ożywionej wprawdzie, ale bardzo płytkiej o tem, czego przed chwilą byliśmy świadkami. Zapewne wówczas nie mówiłem wcale rozsądniej od innych. Nagle zawołał pułkownik:

— Moi panowie! Stawiam 45 przeciw jednemu, i założę się, że jeszcze doczekam się przyszłej wiosny.

To mówiąc, zwrócił się do jednego ze starszych poruczników, znanego z żyłki karcianej i lubiącego się zakładać. Trudna rada! Wprawdzie wi-docznem było, że porucznik miałby wielką ochotę się założyć: ale jakoś dziwnie to było zakładać się

o życie lub śmierć własnego pułkownika i dla tego porucznik uśmiechnął się tylko w milczeniu. Najprawdopodobniej pożałował później tego, już bowiem po dwóch tygodniach pułkownik podczas wielkich manewrów w obecności cesarza spadł z konia i zabił się na miejscu. Przy tej sposobności okazało się, że czegoś podobnego prędzej czy później oczekiwali wszyscy.

Ale właśnie ten wypadek sprawił, że od tej pory zacząłem z pewnym niepokojem przypominać sobie ową nocną przepowiednię, o której z dziwnego jakiegoś strachu nie wspomniałem dotąd nikomu. Dopiero podczas urlopu, gdy odbywałem podróż do Wiednia, otworzyłem serce swoje koledze, Fryderykowi Pulantowi. Prawdopodobnie musiał pan słyszeć o nim, pisał bowiem wcale ładne wiersze i umarł bardzo młodo. Z Pulantem razem opracowaliśmy tę rzecz piśmiennie i cały opis znajdzie pan w tej kopercie. Zrobiliśmy to umyślnie dla tego, że Pulant był zdania, iż takie wypadki nie powinny przepadać dla nauki i że trzeba stwierdzić, czy mieści się w tem coś prawdy. Wraz z Pulantem poszedłem do notariusza Artinera, i w jego oczach wsadziliśmy ten opis do koperty. Aż do dnia wczorajszego koperta przechowywana była w archiwum notariusza, teraz zaś nadesłano mi ją na własne moje żądanie.

Muszę się panu przyznać otwarcie, że powaga, z jaką Pulant traktował całą historję, przygnębiła mnie z początku trochę, gdy jednak później nie spotkał się już więcej, i gdy wkrótce potem umarł, wszystko to wydawać mi się zaczęło ogromnie śmieszne. Przedewszystkiem powiedziałem sobie, że przecież los mój zależy zupełnie odemnie i nie na świecie nie mogło by mnie nakłonić do położenia się na marach dnia 9 września 1868 roku o godzinie 10-tej wieczorem, z ciemną, pełną brodą. Lasu i łąki mogę przecież uniknąć, jak

również nie potrzebuję się żenić z kobietą mającą czerwone włosy, oraz nie potrzebuję mieć dzieci. Jedyna rzecz, której może uniknąć bym nie mógł, było by jakieś nieszczęście, jakiś wypadek, np. pojedynek, po którym została by mi blizna na czole.

Rozważywszy to wszystko dobrze, uspokoiłem się zupełnie.

— W rok po owej przepowiedni ożeniłem się z dzisiejszą żoną moją, panną Heimsal, i wkrótce potem, wziąłem dymisję z wojska, ażeby się poświęcić rolnictwu. Oglądałem różne wsie i przy tej sposobności, jakkolwiek wydać się to może bardzo śmieszne, umyślnie tak wybierałem, ażeby nie było takiej okolicy, jaka mi się przedstawiła, podczas owego widma. Miałem już pewne kupno wsi na ukończeniu, gdy żona moja odziedziczyła spadek w postaci pięknego majątku ziemskiego w Karyntji, gdzie wyborne są polowania. Już przy pierwszym oglądaniu tej nowej własności doszedłem do łąki, leżącej w dolinie, przylegającej do lasu i w dziwny sposób przypominającej mi tę miejscowość, której chciałem zawsze unikać. Wystraszyło mnie to trochę. Żonie swojej nie o całej przepowiedni nie mówiłem, jest ona bowiem taka zabobonna, że zastruł bym jej całe życie, aż do dnia dzisiejszego.

Wszystko to wypowiedział Umprecht z uczuciem wielkiej ulgi i z uśmiechem na ustach, potem ciągnął dalej.

— Nie powiedziawszy nic żonie, postanowiłem na wszelki wypadek wyjechać ze wsi na cały wrzesień 1868 roku.

W roku 1860 urodził mi się syn i już od najpierwszych chwil jego życia ustawicznie dopatrywałem się podobieństwa do owego chłopca, którego widziałem wówczas w nocy przed sobą. Czasami to podobieństwo znikало, czasami znów objawiało się silniej. Dopiero teraz spostrzegłem wyraźnie, że ten chłopiec, który dziś wieczorem bę-

dzie stał nad moimi zwłokami ani na jotę się nie różni od widzianego wówczas we śnie. Córki nie mam, zdarzyło się jednak, że przed trzema laty siostra żony mojej, mieszkająca w Ameryce zmarła i pozostawiła córeczkę. Na prośbę żony pojechałem za morze i przywiozłem to dziecko do naszego domu. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem tę dziewczynkę, zdawało mi się znów, że ona jest jaknajzupełniej podobna do owej dziewczynki widzianej we śnie. Wobec tego w pierwszej chwili chciałem już dziecko pozostawić u obcych ludzi i w obcym kraju, ale na szczęście odepchnąłem od siebie taką myśl nieszlachetną i przywiozłem je do naszego domu.

I znów uspokoilem się zupełnie, pomimo, że podobieństwo tych dzieci do dzieci, pokazanych mi przez Marca Pollo, zdawało się coraz większe. Ale przecież mogłem się mylić, pamięć rysów twarzy zaciera się w życiu, a oż dopiero pamięć takich twarzy, które raz tylko widzieliśmy i to jeszcze we śnie. Zupełnie uspokojony żyłem odtąd dość długo, a nawet zaczynałem zapominać o owym dziwnym wieczorze w nędznej mieścinnie galicyjskiej, gdy oto nagle przed dwoma laty otrzymałem coś w rodzaju ostrzeżenia i to wstrząsnęło mną na nowo.

— Musiałem wtedy wyjechać na kilka miesięcy. Na powitanie moje po powrocie wyszła żona, o dziwo! z czerwonymi włosami i taka podobna do kobiety widzianej we śnie owym, że wstrząsnąłem się na całym ciele. Ale w tej chwili opanowałem swoje uczucie strachu i tylko uważałem za stosowne wybuchnąć udanym gniewem. Przez głowę przeleciał mi wtedy pomysł, graniczący z obłędem: „A gdybym teraz rozwiódł się z żoną? wtedy zniknęłoby wszelkie niebezpieczeństwo i drwiłbym sobie z całego przeznaczenia”. Żona moja płakała, prawie zemdlona upadła na ziemię, prosiła o przebaczenie

i tłumaczyła powód takiej przemiany. Oto przed rokiem podczas podróży naszej i bytności w Monachium poszliśmy na wystawę sztuk pięknych i żona moja zauważyła wtedy, że zachwycony byłem portretem kobiety z rudymi włosami. Już wówczas postanowiła przypodobać mi się i wystąpić przy jakiegokolwiek sposobności z takimi samymi włosami. Kazała je przeto sobie ufarbować. Rzecz naturalna, że zakląłem ją na wszystkie świętości, ażeby włosy do dawnego jaknajprędzej przywróciła koloru, a gdy się to stało, zapanował znów spokój zupełny w naszym domu.

— Czyż teraz nie mogłem jak najdowodniej się przekonać, że los swój trzymam w ręku? Czyż wszystko co się dotąd stało nie było zupełnie naturalne? Czyż tysiące ludzi nie posiadają dóbr, żon, dzieci, łąk i lasów?

— Pozostawała jeszcze, aż do zimy ubiegłej jedna rzecz, która mnie nie przestawała ustawicznie niepokoić: Dotąd nie miałem blizny na czole. Nie jestem tchórzem, to muszę o sobie powiedzieć, podczas służby w wojsku pojedynkowałem się dwa razy na bardzo ciężkich warunkach. Trzeci pojedynek również ostry miałem przed ośmiu laty, już po moim ślubie. Gdy jednak w przeszłym roku pewien pan z głupio śmiesznego powodu, że mu się nie dość grzecznie ukloniłem przysłał mi sekundantów, wtedy... wtedy... (tu Umprecht się zarumienił) wolałem go przeprosić. Załatwiliśmy tę sprawę w sposób zupełnie honorowy, wiem jednak o tem, że stanowczo byłbym przyjął pojedynkę i bił się, gdyby nie głupia jakaś obawa, że przeciwnik mój zada mi ranę właśnie w czoło. A wówczas dałbym mojemu przeznaczeniu atut w rękę.

— Jak pan widzi, nawet ubliżenie swojej godności własnej mnie nie uratowało: Blizna jest na czole. Chwila, w której zostałem raniony, była

może jedyną w ciągu tych dziesięciu lat, która sprawiła, że poczułem się bezsilny wobec przeznaczenia. Było to zimną okolo wieczóra. Jechałem wtedy z Klagenfurtu do Villach wraz z trzema osobami, których nie znałem zupełnie. Nagle posłyszałem brzęk szyb w wagonie i uczułem ból na czole, a równocześnie zauważyłem, że coś twardego upadło na podłogę. Chwytam się za czoło i widzę, że ono krwawi się mocno; oglądam się szybko i podnoszę z podłogi kamień z ostrem zakończeniem. Wszyscy ludzie w wagonie porwali się z miejsc, a jeden z nich krzyknął: „Co się stało?” Spostrzeżono u mnie krew i zaczęto robić starania, ażeby ją zatamować. Pomimo bólu spostrzegłem najwyraźniej, że jeden z panów, siedzący w samym rogu, opadł bezwładnie na poduszki.

— Na najbliższej stacji przyniesiono mi wody, lekarz kolejowy założył bandaż, ani trochę jednak nie miałem strachu, ażeby taka rana miała być śmiertelną, co najwyżej pozostanie blizna. Rozmowa pomiędzy pasażerami na ten temat toczyła się długo i zastanawiano się nad tem czy to był jakiś zamach umyślny, czy też głupi, dziecinny figiel. Ow pan, siedzący w rogu milczał i wylupionemi oczyma patrzył przed siebie. Dojechawszy do Villach zacząłem wysiadać, gdy ów pan z rogu się odezwał: „Ten kamień był przeznaczony dla mnie”. Zanim zdążyłem zastanowić się nad tem i odpowiedzieć, mówiący zniknął i nie mogłem się nawet dowiedzieć kto to był. Prawdopodobnie człowiek nieszczęśliwy, chorujący na manję prześladowczą, albo też może osobistość, która czuje, że zawiniła i obecnie na każdym kroku prześladowana jest np. przez męża lub brata oszukanej przez niego kobiety. Kto to wie, czy nie uratowałem mu życia, lub też czy on nie odniósł by był właśnie takiej samej blizny?

— Po kilku tygodniach ukazała się jak słońce jasna blizna na czole mojem, taka sama i wtem samym miejscu, jak widziałem wówczas. Czuję teraz coraz wyraźniej, że mam do czynienia z jakąś siłą tajemniczą, która drwi sobie ze mnie wyraźnie, i że walka nasza jest nierówna. Dla tego też odtąd z coraz więcej wzrastającą trwogą oczekiwałem tego dnia, gdy ostatni szczegół przepowiedni miał się ziścić.

— Na wiosnę tego roku otrzymaliśmy zaproszenie wuja do przybycia tutaj. Zdecydowałem się stanowczo nie spełnić życzenia wuja, nie dosyć bowiem, że stanął mi w pamięci pewien obrazek, który mnie źle do tej podróży usposabiał, ale jeszcze zdawało mi się, że właśnie tutaj znajduję owo przeklęte miejsce. Żona moja niezrozumiała by jednak nigdy powodu odmowy, więc też w końcu po długich namysłach postanowiłem już w początku lipca wraz z dziećmi wybrać się w drogę, równocześnie jednak postanawiając, że zabawimy tu możliwie krótko, a potem wyruszymy na południe, do Wenecji, Lido i t. p. Zaraz podczas pierwszych dni mojego tu pobytu zgadało się o sztuce pańskiej i wuj zaczął opowiadać o tych małych rolach, przeznaczonych dla dzieci; prosił przytem, ażebym moim dzieciom pozwolił zagrać również. Nie miałem nic przeciw temu. W owym czasie zdawało się, że rolę bohatera odegra jeden z aktorów zawodowych. Po kilku dniach nagle schwycił mnie jakiś strach, i zdawało mi się, że bawiąc tutaj dłużej, rozchoruję się ciężko. Pewnego zatem wieczoru oświadczyłem, że czuję się niezdrów i że nazajutrz wyjadę na krótki czas, ażeby się wykapać w morzu. Musiałem przyrzec, że na początku września stawię się z powrotem.

— Tymczasem tego samego jeszcze wieczoru nadszedł list od owego aktora zapowiadający, że z nieznanym mi, a zresztą zupełnie obojętnym

powodów, roli swej nie będzie mógł odegrać. Wuj zmartwił się i zgniewał ogromnie, prosił też, ażeby przed odjazdem przeczytał sztukę pańską, a może po przeczytaniu znajdzie kogoś z naszych wspólnych znajomych, któryby dla tej roli był odpowiedni. Wziąłem od wuja rękopism i odczytałem w pokoju swoim.

— A teraz może sobie pan łatwo wyobrazić, co się ze mną działo, gdy dobiegałem do końca i gdy słowo w słowo znalazłem tę samą sytuację, o której mówiła wróżba z przed lat dziesięciu. Przez całą noc nie zmróżyłem oka i nie mogłem doczekać się poranku, ażeby oznajmić wujowi, że podejmę się odegrania tej roli, obawiałem się, że wuj będzie mnie wszelkimi sposobami odwoził od tego. Byłoby to dla mnie okropne, od chwili bowiem przeczytania sztuki pańskiej uczułem się zupełnie bezpieczny, i gdyby mnie teraz ominęła taka znakomita sposobność, grania w teatrze, to znów oddany bym był owej sile tajemniczej, nieznannej i ciągle groźnej. Ale wuj zgodził się natychmiast i od tej pory wszystko szło trybem zwyczajnym. Od kilku tygodni codziennie robimy próby i najmniej piętnaście, albo nawet dwadzieścia razy przechodziłem tę sytuację, w której się znów znajduję dzisiaj wieczorem: leżę wtedy na noszach, młoda brabianka Saima, zakrywając sobie rękami oblicze, z rozwianemi włosami czerwonymi kłęczy przy mnie, a dzieci stoją obok.

Podczas gdy Umprecht wypowiadał te ostatnie słowa, wzrok mój padł na kopertę opieczętowaną, która ciągle jeszcze leżała na stole; spostrzegł to Umprecht i uśmiechnął się.

— Należy się panu wręczenie tego dowodu— rzekł i złamał pieczęć na kopercie.

Wtedy ukazał mi się zgięty arkusz papieru, który on rozłożył na stole. Na arkuszu tym przedewszystkiem był najdokładniej przedstawiony, jak

gdyby przezemnie narysowany plan sytuacyjny sceny końcowej ze sztuki mojej. Tylina strona i kulisy boczne określone były systematycznie i nazwane krótko: „las.“ Kreska na środku planu przedstawiała figurę męzką, nad nią zaś umieszczono napis: „nosze”, przy innych, również szematycznie naszkicowanych figurach, napisano czerwonym atramentem: „pani z czerwonymi włosami”, „chłopiec”, „dziewczę”, „człowiek niosący pochodnię”, „człowiek z podniesionymi rękami.“

Zwróciłem się teraz do Umprechta:

— Co to ma znaczyć: „człowiek z podniesionymi do góry rękami”?

— O tem — odparł trochę wahająco—byłbym prawie zapomniał.

Co do tej figury, to rzecz tak się miała: Na owem widmie był także człowiek zupełnie łysy, gładko wygolony, w okularach, w szalu ciemnozielonym na szyi. Człowieka tego pono oświetlały pochodnie, on zaś miał ręce wzniesione do góry i oczy szeroko rozwarłe.

Teraz na mnie przyszła kolej zdumieć się ogromnie. Milczeliśmy obaj długą chwilę, potem zaś zapytałem z dziwnym zaniepokojeniem:

— Jak pan przypuszcza właściwie, kto to ma być?

— Przypuszczam—odparł Umprecht zupełnie spokojnie—że ktoś z widzów, a może ze służby wuja, albo wreszcie chłop jakiś ze wzruszenia przy końcu sztuki wpadnie na scenę. A może los będzie tak chciwał, że jakiś człowiek obłąkany, który uciekł z domu warjatów przez dziwny zbieg okoliczności, który by mnie jednak wcale nie zdumiał, po tylu wypadkach, właśnie w tej chwili, gdy leżeć będę na noszach, zjawi się w pobliżu sceny.

Zaprzeżyłem ruchem głowy:

— Co pan mówi? Ten człowiek łysy zupełnie... nosił okulary... na szyi miał szal zielony?...

Otóż powiem panu, że teraz dopiero ta rzecz wydaje mi się jeszcze dziwniejszą, niż poprzednio. Taką figurę, jaka się panu wówczas ukazała, chciałem rzeczywiście wprowadzić do mojej sztuki, ale później zaniechałem tej myśli. Miał to być obłąkany ojciec, o którym jest mowa w pierwszym akcie, i który przy końcu sztuki miał wpaść na scenę.

— Ale szal... okulary?... — zapytał Umprecht.

— To już prawdopodobnie byłaby inwencja aktora.

— Bardzo możliwe.

Rozmowę przerwano nam, pani Umprecht bowiem przysłała służącego po męża, pragnąc z nim jeszcze pomówić przed przedstawieniem. Pożegnał się i poszedł, ja zaś wziąłem raz jeszcze ów plan sytuacyjny do ręki i przyglądałem mu się bardzo uważnie.

III.

Musiałem pójść do owego miejsca, gdzie miało się odbyć przedstawienie. Miejsce to znajdowało się poza zameczkiem i odgródzone było bardzo ładnym ogródkiem. Pierwsze rzędy, przeznaczone dla widzów, pokryto ciemno-czerwoną materją dywanową, dziesięć zaś rzędów utworzono ze zwyczajnych ław drewnianych. Na scenie stały tylko krzeselka, stoły, ale kurtyny nie było wcale. Przedział pomiędzy sceną a widownią wskazywały dwie wielkie topole; na prawo rozciągały się dzikie zarośla, w których ustawiono fotel wygodny, niewidoczny zupełnie dla otoczenia, a przeznaczony dla suflera; po lewej stronie plac był zupełnie otwarty i ztąd rozścielał się widok na całą dolinę. Tylną stronę sceny stanowiły drzewa wysokie, które jednak stały tylko w środku, a po boku ciągnęły się wązkie ścieżyny, biegnące do lasu.

W głębi tego lasu utworzono sztuczny punkt, gdzie ustawione były stoły i krzesła i gdzie aktorzy czekali, wysłuchując pilnie, gdy dla nich nadejdzie pora wejścia na scenę.

O oświetleniu sceny pomyślano w ten sposób, że po boku ustawiono wysokie lichtarze, podobne do tych, jakie widzujemy w kościołach, a w lichtarzach zatknięte były świece kolosalnych rozmiarów. Po stronie prawej w zaroślach, znajdowało się także miejsce dla garderoby i wszelkiego rodzaju przyrządów. Tutaj, obok wielu innych przedmiotów, zobaczyłem też owe nosze, na których Umprecht umrzeć ma przy końcu sztuki.

Łakę zalewały łagodnie wieczorne blaski słoneczne, szedłem zaś, rozmyślając o tem, co mi Umprecht opowiedział. Z początku przypuszczałem, że może ten Umprecht należy do kategorii znanej kłamców o bujnej fantazji, którzy nie żałują trudów, ażeby wydać się ludziom zajmującymi. Była nawet chwila, że przypuszczałem, iż podpis znanego mi notariusza jest sfalszowany, a Umprecht, wtajemniczywszy innych ludzi, rzecz całą starał się najbardziej konsekwentnie przeprowadzić. Szczególne jednak wątpliwości miałem co do owego, dotąd mi jeszcze nieznanego człowieka z podniesionemi do góry rękami. Tu już zdawało mi się, że Umprecht umówił się z kimś, ażeby mnie do reszty zmistyfikować.

Wszystkim tym wątpliwościom przeczyła jednak sama rola pierwszorzędną, którą Umprecht w sztuce mojej miał odegrać, a która przedtem nikomu nie była znana. Oprócz tego młody ten człowiek, bardzo korzystne na mnie zrobił wrażenie. Wszystko to wydawało mi się bajecznie nieprawdopodobnem, ale pomimo to, jakiś głos wewnętrzny mówił: „Nie masz prawa nie wierzyć temu człowiekowi”.

W około mnie zrobił się ruch, służba nadciągała z zamku, zapalano świece, sąsiedzi z okolicy, niektórzy w ubraniach wieśniaczych, zwolna wkroczyli na pagórek i skromnie stawali obok ławek. Wkrótce nadeszła pani baronowa z kilku panami i paniami i swobodnie zajęli miejsca w pierwszych rzędach. Usiadłem przy nich i gawędziliśmy jak zwykle.

Przyszli także członkowie orkiestry i usiedli przy pulpitych; a była to orkiestra zupełnie dostateczna: dwoje skrzypiec, wiolonczela, kontrabas, flet i obój. Rozpoczęli odrazu, chociaż najwidoczniej wcześniej, uverturę Webera.

W najbliższym sąsiedztwie orkiestry stanął sobie jakiś stary chłop, zupełnie łysy i z chustką owiniętą na szyi. Może to on? — pomyślałem sobie — może on właśnie przeznaczony jest przez los do włożenia następnie okularów na oczy, zwarzowania nagłego i wpadnięcia na scenę.

Zmrok zapadł już zupełny i zerwał się mały wietrzyk, sprawiający, że światło świec zaczęło migotać. W zaroślach rozpoczął się gwar, ukrytymi ścieżynami bowiem nadciągali artyści i znajdowali się już w pobliżu sceny. Teraz dopiero przypomniałem sobie, że właściwie dotąd niewidziałem jeszcze nikogo z grających w sztuce, oprócz Umprechta, jego dzieci i córki leśniczego. Do uszu moich doszedł głos reżysera i śmiech młodej hrabianki Saimy.

Orkiestra zaczęła znów grać i na scenie ukazała się córka leśniczego, wypowiadająca prolog, który poprzedzał sztukę. Treść całości stanowiły losy człowieka, który, poczuwszy w sobie żądzę przygód i dalekich podróży, opuszcza dom bez pożegnania. W ciągu jednego dnia tyłu doznał przykrości, że zamierza znów powrócić, zanim żona i dzieci spostrzegą jego nieobecność. Dochodził już do bramy domu, ale i tutaj spotkała go przy-

zawiał i zgasił dwie pochodnie. Niektórzy ludzie w pobliżu sceny zaczęli być niespokojni. W tej chwili usłyszałem głos barona: „Proszę o ciszę, proszę o spokój!”

I rzeczywiście nastąpiła cisza zupełna, nawet wiatr nieporuszał już liśćmi... ale... Umprecht leżał ciągle wyciągnięty na noszach i nie poruszał nawet wargami. Hrabianka Saima wydała okrzyk zgrozy, lecz widzowie myśleli, że to także należy do sztuki.

Nie mogłem wytrzymać, przecisnąłem się przez tłum ludzi, wpadłem na scenę. W około mnie ludzie coraz więcej zaczynają być niespokojni. Wielu podnosi się z ław, wielu bieży za mną na scenę, i zwartem kołem otoczyliśmy nosze: „Co to jest? Co się stało?”

Wyrwam pochodnię z rąk służącego i oświetlam oblicze leżącego na noszach... Zaczynam potrząsać Umprechtem, rozrywam mu ubranie, a tymczasem nadbiegł lekarz, schwycił za puls, przyłożył ucho do serca, a następnie wyraził życzenie ażeby wszyscy ustąpili na stronę. Potem szepnął kilka słów do barona... Żona leżącego na marach również wpadła na scenę, krzyknęła głośno, rzuciła się na męża, a dzieci jak gdyby przykute stanęły obok, nie mogąc zrozumieć co się stało. I nikt nie mógł zrozumieć co się stało, chociaż jeden drugiemu opowiadał coś tajemniczo. Po kilku minutach wiadano, że Umprecht na tych samych marach, na których go wniesiono, umarł nagle.

Uciekłem od tego widoku daleko w dolinę, taka mnie bowiem przejęła zgroza, i taki strach opanował, że nie miałem już odwagi wejść do zamku.

Dopiero na drugi dzień spotkałem się z baronem w Bozen i tam opowiedziałem mu całą historję tak, jak mi ją sam Umprecht przedstawił. Baron niechciał uwierzyć, więc wówczas sięgnąłem

do pugilarasu i wydobyłem ów tajemniczy akt re-
jentalny. Baron spojrział na mnie zdziwiony i wrę-
czył mi papier z powrotem, na tym papierze bo-
wiem nie było już nic. Arkusz był gładki, czysty,
ani śladu atramentu, ani śladu jakiegoś rysunku.

Robiłem odtąd wszelkie starania, ażeby od-
naleźć owego Marco Pollo. Te starania nie dały
żadnego rezultatu i tylko dowiedziałem się, że Mar-
co Pollo, poraz ostatni przed trzema laty wystąpił
w jakimś ogródku hamburskim podrzędniejszego
gatunku.

Wszystko to są rzeczy niepojęte, ale najbar-
dziej niepojęty pozostaje fakt, że ów nauczyciel
wiejski z Kaltern pogonił z podniesionymi do góry
rękami za swoją perukę i zniknął w lesie. Nawet
trupa jego nie odnaleziono.

PRZYPISEK.

Autora tego opowiadania nie znałem* osobiś-
cie. Był to w swoim czasie dosyć znany pisarz,
który umarł nie dobiegłszy 60-go roku życia przed
dziesięciu laty. Nazwisko jego zginęło w fali nie-
pamięci. Cała jego spuścizna przeszła na przyja-
ciela młodości z Meranu. Od tego przyjaciela, le-
karza, z którym podczas pobytu mego w Mera-
nie w zimie ubiegłej często rozmawiałem o różnych
ciemnych zagadnieniach, a szczególnie o przepo-
wiedniach, duchach i t. p., rękopisy przeszły w mo-
je ręce w celu ich opublikowania. Bardzo chętnie
treść tego opowiadania chciałbym poczytać za wy-
mysł rozbujającej fantazji, ze względu jednak na le-
karza, który był obecny na przedstawieniu i który
znał owego nauczyciela z Kaltern, nie mogę tego
uczynić.

KONIEC.

956
4
441
956
6
150
4

92



10908

807c

